



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Manifest Najwyższy.

MY, MIKOŁAJ DRUGI,

Z BOŻEJ ŁASKI

CESARZ I SAMOWŁADCA

WSZECHROSYJSKI,

Król Polski, Wielki Książę Finlandzki

i t. d., i t. d., i t. d.

Wiadomo czynimy wszystkim wiernym poddanym NASZYM:

W dniu 28-ym bieżącego czerwca zmarł w Abastumanie umiłowany BRAT NASZ CESARZEWICZ NASTĘPCA TRONU i WIELKI KSIĄŻĘ JERZY ALEKSANDROWICZ.

Choroba, która dotknęła JEGO CESARSKĄ WYSOKOŚĆ, mogła jeszcze, jak się zdawało, ustąpić dzięki działaniu przedsięwziętego leczenia i wpływowi klimatu południowego, ale Bóg chciał inaczej.

Poddając się bez szemrania woli Bożej, MY wzywamy wszystkich wiernych poddanych NASZYCH, aby podzielili z NAMI smutek serdeczny i żarliwe modły o spokój duszy zgasłego NASZEGO BRATA.

Odtąd, dopóki Bogu nie podoba się pobłogosławić NAS narodzeniem się syna, najbliższe prawo następstwa Tronu Wszechrosyjskiego, na ścisłej podstawie zasadniczego prawa państwowego o następstwie Tronu, należy do najukochańszego BRATA NASZEGO WIELKIEGO KSIĘCIA MICHAŁA ALEKSANDROWICZA.

Dan w Peterhofie w dniu 28-ym czerwca, w roku od Urodzenia Chrystusa tysięcznym osmsetnym dziewięćdziesiątym dziewiątym, Panowania zaś NASZEGO piątym.

Na oryginale Własną JEGO CESARSKIEJ MOŚCI ręką napisano:

„MIKOŁAJ.”

NA WERENDZIE.

(POGAWĘDKA).

Pomimo, że artyści Teatru Rozmaitości rozjechali się na sześciotygodniowy urlop, że panna Kruszelnicka korzysta równie z wakacyj i swoim słowicznym głosem nie ściąga tłumów do przybytku Melpomeny; że wielka moc letników opuściła i opuszcza codziennie mury Warszawy, że ucząca się młodzież wyfrunęła z miasta, że pole mokotowskie opróżniło się z folblutów i nęcącego totalizatora: pomimo to wszystko tłok, gwar, ruch nie zmniejszyły się wcale na ulicach Syreniego grodu, hotele przepelnione, przepelnione tramwaje, wywieszane karty wynajmu mieszkań przerażają wciąż wygórowaną ceną, Święto-Jańska przeprowadzka trwa w całej pełni, a nowe domy wznoszą się jak grzyby po deszczu, których właściciele (domów nie grzybów) uprzejmie zapraszają lokatorów, ażeby piersiami swoimi osuszyli wilgotne mury mieszkań.

Ceny w nowobudowanych domach, do których przenieść się można od św. Michała, są nieco mniejsze niż w starych kamienicach, znajdują więc sporo amatorów, tak, że nieraz mury kamienic nie pokryte są tynkiem jeszcze, wstawiają się jeszcze okna, bielą się sufity, malują ściany, a już wszystkie lokale, począwszy od suteryn, a skończywszy na czwartym piętrze i poddaszu—są wynajęte.

Napozór, ma się niby pewne dogodności: lokal o jakie dwadzieścia albo trzydzieści rubli jest tańszy, wygląda schludniej i czystiej od mieszkań w starych domach; lokator jest pozbawiony towarzystwa robactwa. — Wszystko w porządku — ale nadchodzi zima, pali się w piecach ucziwie, mimo to chłód wierci kości, trzeba więc podwajać albo potrajać nawet ilość paliwa.

Cóż robić!

Będąc sam, człowiek możeby się zgodził na dzwonienie zębami, ale żona, dziatki?... Pcha

więc w paszczę od pieca węgla ile się da tylko i wreszcie rozkoszuje się ciepłem.

Ciepło! prawda! Ale dziwne ciepło jakieś. Mieszkaniec nowego lokalu doznaje wrażenia, jak gdyby był w łaźni. Opar unosi się dokoła, po-tniejają okna, ściany ociekają wilgocią, a tu pod łopatką zastrzyka czasami coś okrutnie bolącego lata po całym ciecie. Ale Warszawa obfituje w lekarzy.

— Doktorze, co to takiego jest?
— Reumatyzm.
— Byłem zdrow, jak bizon.
— Teraz jesteś pan chory.
— Dla czego?
— Ściany wilgotne parują, własnymi piersiami osuszasz pan mieszkanie.
— Aha!

Po obliczeniu kosztów wydanych na opał, doktora i aptekę, przychodzimy wreszcie do przekonania, że o parę dziesiątków rubli lokal tańszy dużą szczerbę w domowym naszym budżecie zrobił.

Od czegoż jednak jest—pociecha?

Dobry to wynalazek!

Pocieszamy się zatem, że: choć własnymi płucami, przy pomocy nadmiernej ilości węgla osuszaliśmy mieszkanie; choć na własnej skórze doświadczyliśmy przyjemności reumatyzmu latającego; choć zebrałiśmy, dziś już nam niepotrzebną kolekcję recept i butelek; choć na doktorów i aptekę wydaliśmy grosz nieraz krwawo zapracowany,—ale mamy wreszcie lokal suchy, świeży, czysty—i tani.

Pocieszyć się łatwo, więc i rozczarować się nie trudno.

Według przyjętego u nas zwyczaju, na kwartał przed skończeniem roku, szanowny gospodarz zawiadamia nas, że: jeżeli nadal chcemy mieszkać (na co zresztą szanowny gospodarz domu z chęcią przystaje), musimy za zajmowane mieszkanie dopłacić—ot, bagatelkę, rubli 50 albo 60 więcej.

— Z jakiej racji?
— Bo takie są ceny wszędzie.
— Przed rokiem żądałeś pan tyle a tyle.
— Mieszkanie było wilgotne, teraz zaś suche jak drzazga.

— Ależ to jest zasługa moich płuc...

— Wdzięczny im jestem!

— Panie!

— Czy mam wywiesić kartę?

— To nadużyciel!

— Wywieszam.

— To—to... niesumienność!

— Wywiesilem!

W targ wchodzisz, ale nie otrzymujesz najmniejszego ustępstwa. Zgadzasz się więc na wszystko, jeżeli nie masz choć odrobiny miłości własnej, a jeżeli ją masz—posyłasz szanownego gospodarza do stu piorunów i przebiegasz ulice, szukając nowego przytuliska dla swojej nieszczęsnej głowy.

— Lokatorska dola! powtarzasz sobie. (Jest to nowowytworzone zdanie, dla określenia szczęścia ludzkiego). Dokąd się udać po pociechę?

Do ogródka.

W Teatrze Lwowskim grają stale cieszącą się uznaniem publiczności „Noc Wenecką.”

Ach, Wenecya! i to jeszcze w nocy!

Mimowoli zwracasz rozmarzony wzrok na niebo, pragnąc na ciemnych szafirach ujrzeć księżyc srebrny.

Marzycielu!—zapomniałeś parasola.

Brrr! deszcz!

Czy to w tej chwili naprzekór twoim marzeniom rozplakało się tak niebo?

Wzdychasz.

Zapomniałeś już jak słońce wygląda.

Kapało tak samo wczora, zawczora, a jedno-stajne, szare, nieruchome chmury, nie rokują wypogodzenia się szybkiego.

Coś się sprzyściło na ciebie.

W Teatrze Lwowskim „Noc Wenecka,” ale ażeby ją ujrzeć, potrzeba przebrnąć przez ulice błotem i wodą zalane i użyć nieproszonej kąpieli. Na podobny eksperyment jeden na stu się zgadza. W teatrzykach więc dość luźno—dy-

rektorowie załamują ręce. Ale ty idziesz—niech tam!

Przy bufecie spotykasz twarze ogorzałe, tchnące czerstwością i zdrowiem.

To pewno mieszkańce wsi.

Nie omyliłeś się.

Przypominasz sobie rozkosze wiejskie i wzdychasz. Zazdrościsz tym twarozom ogorzałym swobody wiejskiej i powietrza. Przez to wspomnienie wywczasów sielskich, coś ciebie do nich przyciąga. Los ci służy. Zdarza się okoliczność zapoznania się, zapoznajecie się. Więc w gawędkę.

— Panowie ze wsi?

— Tak, panie.

— To widać zaraz.

— Czy po naszych minach skwaszonych?

— Co znowu! Wszak to na wsi raj teraz...

— Pan pewnie poeta.

— Coś... niby... tak.

— Poznaliśmy od razu. Siedząc w murach miejskich, marzycie o wiosce, jako o miejscu spoczynku. Ale bądź pan gospodarzem, licz pan na urodzaj, ciesz się pięknie dojrzewającym zbożem, wtem, jak deszcz utnie... Tygodniówek! Boże ratuj! Wyjdiesz na lan, a tu żyto czy pszenica pokotem leży. Czekasz zmiłowania niebios, wypatrujesz choć kawałka błękitu,—gdzie tam! Ani marzenia, żeby wypogodziło się. Dla was, panowie, wieś pachnie, a i dla nas pachnie, ale trwoga i niepokojem o jutro.

I zaczęły się skargi i lamenty na niebo chmurne, na deszcz nieustający, na zawiedzione nadzieje.

O deszczul błogosławieństwo czasami, czasami przekleństwo przynosisz.

Wspomniałem o błogosławieństwie, i oto przez kojarzenie się pojęć stanął mi wmyśli zapis s. p. Wilhelma Ellisa Raua, którego błogosławić będą wydziedziczone dzieci tej ziemi. Pan Rau był przemysłowcem, który pracą uczciwą, obrotnością i rzutkością w interesach dorobił się dużego majątku, a rozstając się z tym światem, (umarł nad Menem), chciał po sobie pamięć dobrać w sercach ludzkich zostawić.

Dużo jest celów, na które zamożniłożyć mogą i powinni. Są kościoły, towarzystwa dobroczynności, kasy pomocy literackiej i inne, ale bodaj czy nie na najpierwszem miejscu stoi dbałość o zdrowie młodego pokolenia. Pan Rau, pozostawiwszy ogromną fortunę spadkobiercom swoim, złożył pół miliona rubli na cel szlachetny zapewnienia zdrowia dzieciom warszawskiej. Z tej sumy rs. 300,000 poświęcono na tak niezbędny ogród dziecięcy, reszta zaś, t. j. 200,000 na kolonie letnie.

Nie wiemy czy była taka wola testatora, czy pozostała po nim rodzina: żona, syn i córka—otrzymawszy fortunę, postanowili tę dużą sumę, dla uczczenia pamięci zmarłego, oddać na cele powyższe, fakt pozostaje faktem, i oto, wolą spadkobierców, 200,000 rb. ma być użyte sposobem następującym:

Rubli 50,000 mają pójść na założenie dwóch kolonij: jednej bezpłatnej, dla dzieci robotników fabrycznych i rzemieślników, drugiej dla dzieci mniej zamożnych pracowników w instytucjach i kantorach przemysłowych, kolejowych i handlowych; lecz już nie bezpłatnej, ale za niewielką opłatą, którą ustanowi komitet Towarzystwa kolonij letnich. Procenty od pozostałych 150,000 rb. dostarczą środków na utrzymanie kolonij, dzięki zaś temu, 800 dzieci będzie korzystało z odpoczynku letniego, z tej liczby zaś przypadnie co najmniej 360 na ową kategorię mniej zamożnych.

Być może, że ogół pod wielu względami zbiedzony, cierpi na pewien niedostatek materialny, ale Bogiem a prawdą, gdyby obliczyć kapitały, t. j. w ogóle ludzi bogatych i zamożnych,—nieźleby wypadła rubryka zamożności ogólnej. Potrzeb jest wiele, ach jak wiele!—gdyby więc wszyscy zamożni zechcieli dobrowolnie opodatkować się i małą cząsteczkę tylko ze swoich dóbr ziemskich ofiarować, krótko mówiąc, gdyby w masie narodu zapanowało rzeczywiste pojęcie filantropii, anibyśmy się spostrzegli, jak marzenia w rzeczywistośćby się zmieniły.

Dotąd gawędziłem z wami, szanowne czytelniczki, siedząc na miejskiej werendzie, rojąctylko o wywczasach sielskich, ale maluczko, a przeniesiemy się do ślicznego Kazimierza nad Wisłą, sławnego ruinami dwóch zamków: Esterki i Maćka Borkowica, pozostałością śpichrzów Kazimierzowskich, kościołami starymi, cudowną, górzystą miejscowością—i bogactwem owoców. Może się tam trochę dusza rozmarzy, a serce o wspomnień trochę potraci i na falach snów popłyniemy w dal błękitną, aż rzeczywistość pomalu przemieni się w sen ze srebra i kryształu.

Czy marzyć niewolno? czy źle jest marzyć?

Doprawdy? smutneby życie bez marzeń było. Szczęśliwym tensię nazwać może, kto od kolebki do grobu nie zerwał tej nici promiennej. Może to są znikome, piękne bryzgi na falach mętnych, może to tęcza uludna na chmurach czarnych rozwieszona, ale tyle ma piękna, tyle uroku w sobie, że czasami, ba, może zawsze oddałbyś tę uludę za rzeczywistość.

O, primavera, gioventu del anno,

O, gioventu, prima vera dell'vital

Powiada piosnka włoska,—ale od nas po części zależy ten pierwiosnek młodości zachować; być młodym, choć nawet siwizna nieraz głowę pokryje.

Doniosły nam dzienniki o śmierci s. p. Józefa Majera, b. profesora i rektora uniwersytetu Jagiellońskiego, człowieka olbrzymiej pracy na polu nauk fizyologicznych, który do ostatnich chwil swojego życia nie stracił młodości ducha, wiary w dobro, która musi udziałem być przeszłości. Znałem osobiscie s. p. Józefa Majera i jemu, jako profesorowi mojemu w akademii krakowskiej, zawdzięczam bardzo wiele chwil niezapomnianych nigdy. Często duch młodzieńca załamywał się pod ciężarem krzyżów życia—lecz otrząsał się szybko, pod wrażeniem słów starca, które tryskały jak źródło ożywczy na serce zmęczone.

Zaraźliwym jest zło, lecz i dobro jest zaraźliwe,—on tem dobrem zarażał. I dla tego wieść o śmierci jego wstrząsnęła do głębi każdego z tych, którzy go znali, nie—którzy mieli szczęście znać go.

O naukowej działalności nieboszczyka pozostawiamy pisanie pismom specjalnym, tu tylko hold składamy pamięci s. p. Józefa, życząc narodowi, by takich bojowników prawdy i piękna miał jak najwięcej.

??

MATKA-MUZA.

przez

X. Y. Z.

(Dalszy ciąg).

Nie znamy jeszcze treści listów matki poety; nie wiemy napewno, jakie w tym okresie życia jego miała zdanie, gdy Juliusz po dwóch latach zajęcia nagle i niespodziewanie wyjeżdża z Warszawy. To był rok 1831, Juliusz nie wrócił więcej do kraju. Najbliżsi potępiali cicho lub głośno postępek jego. Ogół do tej chwili lubi snuć na ten temat historie nieprawdziwe i lekko-myślnie sądzić poetę. Tylko pani Bem ma dla syna wyrazy miłości i przebaczenia; ona jedna tam w kraju zapewne bronić go musi, bo nie usprawiedliwiać nie może. Ona jedna dotąd znała to dumne serce i rozumiała, że syna jej ciągnie naprzód siła stokroć od innych potężniejsza, bo talent i natchnienie poety. Nie mogło połowicznie lub fałszywie sądzić autora tych pieśni—serce matki. Odczuła, że odtąd zapewne poczniesz się i sława Juliusza, a dla niej droga wyrzeczeń. Wzamian dostawać miała jego listy, echa urywane tych burz i wstrząśnień, które przepelniały poczęły twórczość syna. Z tych czynników i z od-

głosów budzącej się sławy synowskiej, pani Salomea Bem stworzyła sobie świat, który miał jej syna zastąpić.

Czy zastąpił? Niech odpowiedzą na to matki, którym podobny los dostał się w udziale, a u których serce ponad dumę, zresztą usprawiedliwioną, więcej ukochało nie synowską sławę i talenta, lecz jego samego.

Jak w Juliuszowych natchnieniach słyszysz już odtąd zawsze ton bólu, tęsknoty nienasyconej za matką, za krajem, za wszystkim, co nie miało się wrócić, tak znowu o żalach matki Juliusza wiemy niewiele, ale chyba nietrudno odgadnąć, że musiała to być niezwykle tęsknica tej pani, a miała nietylko „tęczową“ imaginację, wdzięk i urok w rozmowie, ale miała serce, do każdej dla syna zdolne ofiary.

O jej tęsknicach i łzach myślał poeta, kreśląc ten za serce targający wiersz („Piramidy“). gdzie „czary ostatek ma się wypełnić łzami matki.“

Poeta widział przed sobą własną matkę.

Postać pozostałej matki, od chwili rozdziału z synem już mniej plastycznie przedstawiać się nam musi, bo na mniej realnym niż dotąd znajdziemy ją gruncie, a więc nie przy boku Juliusza, niebezpośrednio oddziałującą na umysł syna. jak to do chwili wyjazdu być musiało, lecz na oddalonym, biernym więcej stanowisku. Ale tym właśnie okolicznościom zawdzięczamy listy poety. Ważny to dokument, nieodzowny do poznania indywidualności Słowackiego, rzucający nietylko światło w głąb tej niezwyklej pod względem psychicznym duszy — ale co ważne także, malujący nam w dziwnie rzewnych a wdzięcznych barwach postać ukochanej matki, którą Juliusz swą muzą nazwał.

Ten poemat, pisany prozą, a nazywający się listem Słowackiego, kreśli tak piękny wizerunek pani Salomei Bem, że aż obraz ten na zbyt wyidealizowany zakrawa. Wina to artysty, który lubi idealizować prawdę — ale, że miłość obojga była szczerą i dowiedzioną życiem całem, mamy prawo przypuszczać, że rysunek „dzięsiątej muzy“ opiera się na rzeczywistości i prawdziwym podobieństwie.

Te listy pozostaną nazawsze pomnikiem, jaki Słowacki swej matce zostawił. Gdyby kiedykolwiek miał stanąć pomnik godny zasług Juliusza Słowackiego, to winien on objąć nietylko postać samego poety, ale złączyć się z apoteozą tej kobiety, która była tu na ziemi zjawiskiem niepowzedniem, bo rzeczywistą matką-muzą swego genialnego syna-poety.

Poeta czeka na listy matki niecierpliwie. Cierpi męki, gdy list się spóźnia; trawi noce bezsenne, czuje się sam, opuszczony, bez nadziei. To się powtarza ciągle — aż do końca życia; poeta modli się o pamięć matki swej. „Muza“ nie daje się prosić; dzieli się myślami z synem, pociesza, domyśla jego bólów lub radości — jego melancholię rozumie, wybacza, doradza, a nawet nie szczędzi uwag — choćby ostrych. Syn dba zawsze o opinię matki w ocenie swych prac; oczekuje niecierpliwie, co mu też matka napisze o jego „dzieciach“ — bo tak zawsze swoje utwory nazywa. W liście datowanym z Paryża dnia 30 Lipca 1832 roku, zgadza się na zdanie matki o „Zmii“, że jest słuszne, a mianowicie, że w poemacie brak jest jednolitości. Tłumaczy, że „brak w całościach jest skutkiem rozpierzchłych pieśni Zmii.“ Widać, że pani Bem nie zaślepia się w sądach przywiązaniem dla syna. Juliusz ceni rozumne uwagi, tęskni za rozmową z nią o swoich dziełach.

„Czemuż z tobą, mamó droga, nie mogę pogadać o moich pismach przeszłych i przyszłych. Jakieżby to było szczęście dla mnie...“ — pisze Juliusz 17 Października 1833 r. z Genewy. Słowa podobne przewijają się ciągle w listach Juliusza, który chwytając chciwie echa myśli matczynych, a nawet czasem jej wyrazy wprost do poematu wprowadza. W liście z Genewy z dnia 15 Marca 1833 r. przyznaje się nawet matce: „w ostatnim poemacie ukradłem jedną myśl z twojego listu, ale ją znacznie osłabiłem w wierszu.“

Juliusz zdaje sobie doskonale sprawę z wpływu matki na siebie. Wpływ ten i jego znaczenie odczuwa doskonale w najweselszych i najsmutniejszych chwilach życia, jak również nie obojętnie, bo z bólem przyjmuje inne ofiary matki, mianowicie pieniężne. A poczęły się one z chwilą wyjazdu Juliusza. Pensja pani profesorowej i niewielki kapitał zostawiony poecie przez ojca, nie tworzyły razem takiej sumy, któraby matce i synowi zapewniała byt spokojny. Przeciwnie — dziwnie musi być pani Bem przeżoną, aby wystarczyło dla obojga. Z urywanych słów widać, że matka pomału wyzbywa się wygod i przyjemności, aby tylko ułatwić życie synowi. Bo najskromniejszy pobyt za granicą kosztuje, a przytem trzeba było płacić księgarzom za wydawnictwa, z których dochód nigdy nie pokrywa kosztów nańłożonych.

Ztąd ciągle troski dla obojga, z tą różnicą, że kiedy Juliusz, jako poeta, żadnej rady na złe nie znajduje i jest niepraktycznym — to matka, istny wzór zapobiegliwości, pracy i oszczędności, umie z małego większe zrobić, potrafi w najgorszej sytuacji złemu zaradzić, potrafi nie palić w mieszkaniu, aby grosz oszczędzony oddać synowi (list z 29 Listopada 1835 r.). Już dawno wyrzekła się koczaja; powoli ścieśni koło znajomych swoich, z którymi żyć lubiła, wreszcie wyrzeknie się i kwiatów w własnego ogrodu...

Ztąd Juliusz cierpi wyrzuty sumienia i ludzi się, że zarobi pieniądze, jeżeli uda mu się co „interesującego napisać.“ (List z 29 Listopada 1838 r.) Ale poeta za pieniądze nie „interesującego“ napisać nie umie, więc dziwi się słusznie, z kądem je matka zdobywa?

„Często nie mogę pojąć, z kądem ty wydobywasz nowe grosze i myślę, że ci może anioł jaki sypie do twej mahoniowej szkatułki?“ (Z listu pisanego w r. 1835).

Naprawdę, trudnoby było na ziemi temu poecie bez swej muzy-matki i bez jej czarodziejskiej szkatułki.

Potomność powinna by tej kobiecie z lichwą oddać zawartość szkatułki, która ułatwiała życie i pobyt tu, na ziemi, jednemu z największych jej poetów.

Dług, który spadał na Juliusza, spadł prawem dziedzictwa jego skarbów ducha i na nas. Nie znać i nie ocenić matki Słowackiego, byłoby zapoznać i nie cenić ducha Juliusza.

Ona jedna naprawdę nie zapoznała zdolności syna — i jedna może wówczas rozumiała, czem stać się miał i mógł Juliusz. Ona również, acz zdaleka, starała się uczynić mu życie lżejszem, znośniejszem; jej często przypadało godzić syna z ludźmi i ze światem.

Ale ofiary wszelkie przychodziły jej łatwo, a ona sama pewnie łask swych ofiarami nie nazywała.

Ta kobieta, nazwana poetycznie przez syna „muzą“ — kryje w rzeczywistości tyle siły, zaparcia i miłości, do jakiej tylko chyba matka jedna wznieść się może.

Ale ta muza, której listy i pamięć są dla syna tak potrzebne, jak potrzebne jest powietrze do oddychania, nietylko same listy pisze i karmi natchnieniami syna. Ona w życiu codziennym jest tak czynną matką, jak matki innych synów nie poetów, a zwłaszcza matki, którym los troski o chleb codzienny nie odmówił.

Życie pracowite pani Bem, to ta różnobarwna mozaika zajęć, kłopotów, obrachunków, przewidywań, strat i nadziei, jakie sobie układa misternie zwykle prozaiczne, domowe życie, które nie ma na zbytki, a musi mieć na najzwyczajniejsze potrzeby. Trzeba nieraz ręki mistrza, aby ta mozaika nie stała się ciężkiem utrapieniem gospodyni.

Długą byłaby nie „leż-perelek“, któreby z życia pani Bem nanizac można było. Lecz nie ona jedna przeżyłaby na szali jej cierpień i zasług. Z poza mgły i smutku, z poza tej aureoli jaką ją otacza pamięć Juliusza, wynurza się nam postać matki poety, jako uosobienie energii, kobiecej wytrwałości i pracowitości, dzielnej pracowniczki na swojej niwie. Ona to, wyręczając starych rodziców, prowadzi gospodarstwo w ich

domu, nie waha się sama ująć za sierp i przykładem robotników zachęcać. Sama zajmuje się ogrodem i kuchnią, zbiera grosz do grosza, obmyśla, rachuje ostrożnie, aby nietylko rodzicom było dobrze, ale żeby i synowi nie brakło. Ona jedna tam zakasuje rękawy i wkłada ręce w robotę i biedzi się czy tak dobrze będzie, czy wystarczy? Czy nie możnaby inaczej?

Czytając urywki z nieporównanie pięknego dramatu „Złota czaszka“ — prawie, że słyszemy energiczny głos pani Salomei, budzącej w piekarni zaspane sługi i mamy ją przed sobą żywą, poruszającą się zwawo wśród ścian skromnego dworku w Krzemieńcu. Ta czynność bezustanna i żywość pani Bem, musiała też być później lekarstwem dla zbolalej duszy.

Wpływ matki poety sięga dalej. „Warta“ w N-rze 426 z dnia 17 Września 1882 r. wspomina, że pani Bem była „głośną na okolicę z lekarskich ziółek i dobroczynnej chęci...“ że błogosławieństwo Boże najwidoczniej nie opuszczało ją w życiu. A więc serce jej dla chorych, potrzebujących i biednych nie było zamkniętem: jej apteczka słynęła ze skuteczności, Bóg nie opuszczał ją. „Najmilsza, najserdeczniejsza ze wszystkich, gotowa do poświęceń,“ mówi o niej pani Pawłowa Pruszyńska, osobista znajoma pani Bem do p. Seweryny Beaupré *).

Nie zasklepiała się więc w swoim bólu, umiała stać się pocieszycielką drugich. Surowa dla siebie, rozumiejąca co znaczy cierpienie, rozumiała też drugich i pomagała chętnie.

Że poza temi zajęciami ruchliwy umysł pani Bem znalazł czas i na ulubione książki (Juliusz raz wraz poleca matce to lub owo dzieło do czytania) i na odegranie „staroniemieckiego walca“ (wspomnianego w liście Juliusza) i na wyszycie włóczką poduszki lub makatki o „tle błękitnem,“ które synowi posyła, to się samo przez się rozumie...

Wreszcie pozostawał czas na listy do syna. W nich ostatecznie zamykała się treść życia osamotnionej matki, zlewała pełnia jej uczuć, jej tęsknot, nadziei i cierpień. W nich odzwierciedlać się musiało jej życie i to, zwykle codzienne i inne — duchowe. W nich zamknąć się miało wszystko, co dostawała od życia i co miała jeszcze do darowania synowi: swe myśli i swą duszę. Nie czytaliśmy tych listów, ale z odpowiedzi Juliusza domyślamy się treści. Juliusz nie rozłącza się z listami matki, wozi je z sobą w drodze.

W klasztorze „Batchesz-ban“ na Libanie w r. 1837, kłęcząc porządkuje drogie papiery i ze łzami odczytuje listy ukochanej matki, które towarzyszą mu wszędzie i są widomym znakiem jej pamięci i opieki. Bo każdy list od matki, to zresztą nietylko dowód pamięci, spis wydarzeń ważniejszych — ale tęsknie oczekiwane echo stron rodzinnych — jeszcze jeden kwiat więcej dla syna z ojczywej łąki, jeszcze jedno więcej natchnienie w krainie pieśni, jedna więcej otucha i odwaga do utarczki z losem. Cień matki-muzy towarzyszy poecie wszędzie, wytrwale, cicho i z miłością.

Mijają lata — stosunek się nie zmienia. Zawsze poeta zwierza się matce ze swoich cierpień, przygód, marzeń i nadziei; zawsze ma jej coś do powiedzenia. Ton listów jego nie zmienia się; czas nie wyciska w tym stosunku żadnych śladów. Z Genewy w dniu 30 Czerwca 1835 roku Juliusz tak pisze do matki: „Zawsze nazywam ciebie „Mama“, bo ci, co się oddalili i rozłączyli dziećmi, nie starzeją i wszystkimi siłami chcą się zbliżyć do chwili pożegnania, aby rozłączenia się czas krótszym się wydawał i nie przerażał myśli, odbiegającej w przeszłość.“ Juliusz jest zawsze dawnym Julkiem, kochającym swą matkę fanatycznie, tylko oddalenie i cierpienie otacza jej postać jakąś aureolą świętości, anielstwa, czegoś niezmiernego. Ta muza Juliusza ma twarz Madonny, napiętnowaną ogromnem cierpieniem.

„Jak jedna z tych madon hiszpańskich, oczy

*) Hösieck.

ty masz wielkie, zielone a ciemne, pełne słońca w dołach czarnego smutku, świecące się jak lampy tajemnicze w Józefatowych grobowcach... Widzę ciebie czasem tak bolejącą, że aż surową mi się wydajesz, wtenczas ze strachem oglądam się na siebie i na moje czynności i radbym być wielkim, bardzo wielkim... — pisze Juliusz w liście do matki z dnia 30 Listopada 1844 roku.

Łączność myśli z synem jest główną karmią duchową dla pani Bem, a jego powodzenia jako poety, niemałą zapewne nagrodą za wszystkie trudy, satysfakcją — za wszystkie wyrzeczenia.

Może Bóg wysłucha marzeń i modlitw dawnych „Julka,” może go wielkim uczyni poetą, a wtedy niech będą błogosławione jej trudy, lzy i osamotnienie. Ale najrzewniejszą i najdumniejszą pociechą dla serca matczyne były zapewne te słowa Juliusza, z okazji urodzin jego pisane z Genewy w dniu 21 Sierpnia 1834 roku.

„Biedna matko moja! Dziękuję Ci, żeś przez lat 25 czuwała nademną jak anioł-stróż. Ale matko moja, po 25 latach dzisiaj mógłbym ci zrobić spowiedź ogólną życia mojego, że nieskałałem się żadną ciężką zmasą.”

Inny wyimek z listu Juliusza, pisanego w d. 18 Listopada 1843 roku: „Z głębi duszy ci mówię, że jestem godzien miłości twojej i Bożej opieki—nie bowiem nie czynię przeciw sumieniu mojemu i dla tego mam drogę twardą, często samotną, ale zawsze prostą.”

Całem życiem dowiódł Słowacki, że tą drogą szedł rzeczywiscie, była to bowiem jedna z natur, o których mówi Sienkiewicz, że kochają się w czystości własnych piór. Mógł być dumny z prawości, z życia nieskałanego, z młodości ducha i wzgardy dla wszystkiego co brudne, płaskie, wyrachowane lub niesumienne.

Do końca życia pozostał „poetą” w najdrobniejszych szczegółach swego życia i wszystko na podniosłych dążeniach ducha zasadzał. Cały późniejszy kierunek umysłu, począwszy od roku 1842, z tych zasadniczych tonów duszy wyrósł.

Pani Salomea Bem w tych dowodach czerpać musiała pociechę i uśmiechać, kiedy Juliusz w r. 1842 w dniu 24 tak pisze o sobie do matki, pod przybranem wówczas imieniem Zosi: „pracuje (Zosia) nad sobą bardzo, bardzo i czyni to podług pacierza, któregoś ty ją w dzieciństwie uczyła; prosząc o zdrowie, rozum, bojaźń Boską, miłość ludzką i o wszystkierzeczy, które z chwałą Bożą są...”

Tu nasuwa się pytanie, czy też pani Bem nigdy nie pomyślała o połączeniu się z synem? Wiemy, jak listy Juliusza przepełnione są marzeniami tęskniami o wspólnym życiu z matką, że snuje przeróżne projekta o przyszłości, aby żyć u boku matki, choćby zagranicą. Więc śnią mu się mury domku rodzinnego, strony ojczyste i postać matki. Oto jeden z podobnych a licznych ustępów, zawartych w liście Juliusza z dnia 2 Sierpnia 1842 roku: „Śniło mi się niedawno, że chodzę z tobą po gaju Czerczy, że mi pachnie konwalia, że widzę płomienie pieców ceglanych i słyszę bazylikańskie słowiki i odpowiadające im słowiki z żydowskich mogiłek... Cóżbys ty droga zrobiła, widząc mnie u nóg twoich na ławie domku twego? Na samą myśl taką lzy zalewają mi oczy i serce leci ku tobie. Proszę cię, czytaj ewangelię i łącz się ze mną modlitwą.”

Nie mogły nie pociągać pani Bem te marzenia syna. Jednak umiała im się oprzeć. „Mówisz mam, że mię nie chcesz pozbawiać swobody” — pisze Juliusz z Genewy w 1834 r. Znała widocznie pani Bem usposobienie artysty, którego marzenia nie zawsze idą w parze z rzeczywistością. Chciała mu zostawić wolność niezem niekrępowaną — więc skazała się na samotność. A przytem i inne względy stawały temu połączeniu na przeszkodzie. Pobyt wspólny zagranicą kosztowałby podwójnie, a ona ledwie, ledwie dla Juliusza mieć mogła. Więc odepchnęła marzenia, wyrzekła się tego, o co nieraz w modlitwie prosiła, resztę zostawiła Bogu.

Pieniężne również kwestye nie dały zapewne połączyć się matce z Januszewskimi i Juliuszem we Włoszech, choć tego gorąco pragnęła, boć takie spotkanie, choćby na parę miesięcy, byłoby dla matki niewysłowioną radością. Oparła

się odważnie pokusie, ale Juliusz domyślił się, że matka nową poniosła ofiarę, bo tak pisze: (w d. 24 Maja 1835 r. z Genewy) „Krótki twój list pokazał mi, jak musiałaś cierpieć, mam, widząc odjeżdżających Teofilów (Januszewskich), wszak ja cierpię nieraz, widząc jaskółki lecące na północ.”

(Dokończenie nastąpi).

Kazimierz Gliński.

KRZYWDA

POWIEŚĆ.

(Dalszy ciąg).

XXIV.

Przerwana uczta.

Wiesć o tem, co zaszło w domu Górkowskim, nie mogła długo zostawać w ukryciu, zresztą i pan Hipolit nie robił tajemnicy z powziętych raz postanowień, wiedziała służba, wiedziała wieść cała, jedna tylko Maryanna nie mogła dopytać się prawdy, bo każdy jej co innego mówił, albo poirytował jakąś bajką, na poczekaniu stworzona.

— Panie Czubiński, a co tam się stało wczoraj we dworze?

— Jedli, taj pili,—odpowiedział.

— I więcej nic?

— Rozmowa była i o pannie.

— A jaka?

— Kiedy hadko powtórzyć.

— To lepiej i nie wspominać było,—burknęła oburzona.

— A na co panna pyta?

— Bo ja myślała, co to jest rzecz inaksza.

— Może i jest, — ale widzi panna, co jest u nas przymówka: nie dla psa kielbasa.

— Ot, werażenie się,—zawołała Maryanna.

Zakręciła się i zaczęła Sawka, choć niezbyt chętnie.

— Sawkol...

— Aha, już pannie chce się andrutów?

— Miej ty rozum i żyj ze mną po przyjaźni.

— Taj co będzie?

— Zobaczysz, tylko żyj ze mną po przyjaźni.

— Już panna ma do mnie jakiś jenteres.

— Mam.

— Prosto z mostu, niech panna gada!

— Co tam się stało wczoraj we dworze?

— A panna pamięta, co ja jej wczoraj pokazałem?

— Żeb ty skis!

— I wtedy bym pannie smakował!

— Jak rak pieczony.

— Nie—jak andrut z wanilo.

Panna Maryanna wścibstwem swoim i przydługim językiem naraziła się dwornik całej, nie nawidzili więc jej wszyscy, zmyślali niebywałe historie, lecz umiała sobie poradzić. Z półsłówka domyśliła się prawdy i czuła, że jej włosy dębem na głowie stanęły, gdy doszła do przekonania, iż pan Hipolit ma rzeczywiscie poważne zamiary względem Maryni Sochackiej. *Meczalans* ją oburzył.

Tymczasem pan Hipolit dniami całymi przesiadywał u Sochackich, z Marynią przechadzał się po parku, a co niedziela zapraszał wszystkich do siebie. Z matką się nie spotykał wcale, bo ta późnym wieczorem wracała z Grudowa i nie wzywała pana Hipolita do siebie, z pochwyconych tylko wieści wiedział, że Henryk już wyszedł z pod opieki lekarzy, że księżę Ry-

szard codziennym jest prawie gościem w Grudowie, że się rozpoczęły wizyty i rewizyty, że Grudowscy prowadzą dom otwarty, a uczy i spacerują na porządku dziennym. Dowiedział się także pan Hipolit, że Zieman dobija targu o całość lasów Dziadyszowskich, lecz za nie tak przerażająco małą daje cenę, iż Henryk waha się z ostatecznym podpisaniem kontraktu.

— To nie! Przyjdzie koza do woza, jak nie będzie miała trawy do skubania,—mówił znający się na rzeczy Zieman.—Ja wiem, jaki to jest interes i, co ten interes będzie mój!

Mało to wszystko obchodziło dziś Hipolita. Oddany swojemu szczęściu nie dbał o świat cały. Wiedział doskonale, że ciężką mieć będzie przeprawę z matką, lecz po tem, co zaszło, po latach krzywd od niej doznanych, słów jej nie położy już na szali, a zerwawszy raz na zawsze z przeszłością całą, rozpocznie życie nowe, w otoczeniu zupełnie nowem. Czekał tylko ukończenia domu w Piaskach, by pójść do matki i powiedzieć:

— Musimy się rozstać!

Wybór siedziby jej zostawi, nie ujmie nic z danych raz przyrzeczeń, lecz dach jeden nie może już być nad nimi.

Jednak, pomimo zdwojonej liczby robotników, w nowozbudowanym domu pokazywały się coraz to nowe braki. Musiano piec jeden przerabiać, bo dymił niemiłosiernie, trzeba też było i podjazd urządzić i dziedziniec oczyścić, by, na wypadek, gdyby matka siedlisko sobie w Piaskach obrała, nie nie raziło pańskiego jej smaku, nie czuła się skrzywdzoną, nie narzekała na brak koniecznych wygod. Te względy spóźniały ostateczne ukończenie domu, pan Hipolit zaś nie radby był opuszczać siedziby w Górkach, choć mniej wygodnej i wykwintnej od piasekańskiej,—lecz tu lat tyle przemarzył, wrażeń tyle doznał, tak przywykł do tych ścian niskich i sufitów wygiętych, a obecnie niejeden już zakątek napełnił się szmerem rozmowy, z Marynią prowadzonej, że rozstanie się z tym dawnym przyjacielem, z niemałą było połączone przykrością. Stroił się więc dom w Piaskach wewnątrz, zawieszano portyery i franki, ozdabiano szare ściany, woskowano posadzki. Pan Hipolit nie wątpił, że matka ten dom sobie obie-rze: lubiła przepych, a on nie żałował kosztów, by zadość jej upodobaniom uczynić. Sam był wszędzie i wszystkiego doglądał—i te właściwie drobiazgi i upiększenia opóźniały chwilę ostatecznego wykończenia siedziby.

Pani Karolina wiedziała o tym pośpiechu, jak i o nieustannych a wzajemnych odwiedzinach Sochackich i Hipolita. Zrazu zbyt wielkiej nie przywiązywała do tego wagi, choć rzucone przez Maryannę słówka zaniepokoić ją mogły. Lecz oto spostrzegła raz i drugi Hipolita, przechadzającego się z Marynią po ogrodzie. Był wesoły, szczęśliwy, raz w raz pochylał się do swojej pięknej towarzyszki, z uśmiechem w oczy jej patrzył, coś mówił i pocałunkiem za odpowiedź jakąś dziękował. Między służbą krążyły coraz głośniejsze szeptki, że dziedzic żeni się z wnuczką Sochackich—wezwany Czubiński potwierdził: przy biesiadnym stole siedział i pił zdrowie narzeczonych.

Całe piekło gniewu zawrzało w sercu pani Karoliny. Miałaby jej trud lat kilkunastu pójść na marne? miałażby jej myśl skupienia rozdrobionej fortuny Grudowskich w rękach Henrykowych w niwecz się obrócić, i to w chwili, gdy Tosia zdradzała niepokój pewien, którego następstwem będzie macierzyństwo? I oto, na prastarem dziedzictwie Grudowskich ma osiaść Sochackich córka?

— Cha-cha-cha!... nigdy, przenigdy! — wypadło z jej piersi.

Nie dla tego związek małżeński z panną Matyldą zerwała, nie dla tego już raz obarczyła sumienie myślą zbrodniczą, która w straszny czyn się przemieniła!

I znów w mózgu jej zarysowały się obrazy krwawe, a portret Katarzyny de Medicis, w sypialni zawieszony, poruszać się zdawał i nasuwał myśl okrutne. Wezwanie syna i wszelka z nim rozmowa nie przydałyby się już na nic.

Krzywd nie zapomina się łatwo, a życie jego całe było jedną, wielką krzywdą. Do winy tej nie przyznałaby się przed nikim, księdzu przy spowiedzi nie mówiła o niej, oszukać mogła świat cały, lecz choć świat i ksiądz nic nie wiedzieli, w głębi jej duszy budził się jakiś głos, który szeptał:

— Ja wiem!

I głos ten kiedyś, choćby winowajczyni nikt nie obwiniał z żyjących i umarłych, odezwie się przed sądem Bożym:

— Ja wiem!

Lecz ludzie, czyniący zło, nie myślą o Bogu. Nie myślała o Nim i pani Karolina. Dziś myśl jej zajęta była Hipolitem, przypominała słowa, które wypowiedział niegdyś: „Gdybym duszą swoją do duszy czyjejs przyrósł, już bym jej nie oderwał, choćbyś nawet tego chciała ty, moja matko!”

Wierzyła w moc tych słów, w nierozzerwalną potęgę dusz wybranych.

Lecz gdyby ta dusza oderwała się sama? gdyby do tego oderwania się dopomódz?... Hipolit z pod ciężaru tej klęski jużby się nie dźwignął, nie wyciągnąłby ramion do snów nowych.

— Ty musisz się usunąć, musisz pójść precz! — szeptała Grudowska, zwracając myśl swoją do Maryni, która marzyła słodko, kołysząc głowę na piersi rozkochanego Hipolita, chwytając uchem tkliwy szept słów jego:

— Moja! na zawsze moja!...

Jeden Sochacki tylko na myśl o dumnej pani Grudowskiej czuł strach w sercu. Wiedział, że przyjdą chwile upokorzeń ciężkich, starc ostrych, ale widząc uśmiech Maryni, miłość Hipolita, najlżejszym szepcem trwogi nie chciał im szczęścia zakłócać.

Pomimo wszystko, pani Karolina chciała się zobaczyć z synem, lecz widocznym było, że on unikał z nią spotkania. Nie miała zamiaru rzucać mu sama pytań, lecz, widząc się z nią, powiedzieć by jej coś musiał. Ale nie nadarzała się sposobność zobopólnego porozumienia się, nawet należne pieniądze matce Hipolit posłał przez Sawka w zapieczętowanej kopercie, lecz nie wręczył sam, jak to bywało dotychczas.

Czuła więc, że wszelkie nici zerwane zostały, że nie słów, lecz czynu potrzeba, by zwycięzki, ostatni krok postawić na drodze do raz zamierzonego celu.

Jesień stawała się coraz chłodniejsza, poranki były mroźne, szron leżał na trawach pożółkłych, a czasami niebo zamglilo się i ostremi sypnęło krupkami.

Pewnego wieczora gwarno było w domu pana Hipolita. We wszystkich oknach jarzyły się światła, Sawko zwijał się z półmiskiem, bo była to właśnie chwila wieczery. Marynia śmiała się, Hipolit jej dopomagał, złe myśli nawet odstąpiły od pana Sochackiego, i jakąś wesołą anegdotę opowiadał, a pan Hipolit słuchał z zajęciem, do dowcipu dowcip dorzucając. Brakło tylko Czubińskiego, lecz i on się wkrótce pojawił.

— Sława Bogu! — rzekł, przestępując próg komnaty.

— W sam raz trafiłeś na wieczery; siadaj z nami Czubiński.

Czubiński pocałował pana w rękę, powitał wszystkich i rzekł:

— Śnieg mamy.

— Doprawdy? — zawołał Hipolit i w okno spojrział.

— Ponowa — na polowanie jutro.

— Jedź sam, bo ja się teraz z domu nie rad ruszę, — odrzekł Grudowski i z uśmiechem spojrział na Marynię.

Czubiński usiadł na wskazanym miejscu przy stole, zawiązała się rozmowa o tem, to o owem, śmiano się, żartowano; Sawko z półmiskiem w rękę okrążył stół, niezbyt zadgowolony z przybycia karbowego.

W tem drzwi się otwarły, i na ciemnym tle sieni zarysowała się postać pani Karoliny.

Chłód powiał, — na ustach zamarł żart, wszyscy mimowoli podnieśli się z siedzeń, a Marynia wzrok przestraszony zwróciła na panią Karoli-

nę, o której dumie i sercu kamiennem tyle słyszała.

Grudowska z brwią zmarszczoną i dumnie wzniesioną głową wstrzymała się w progu, — Hipolit podszedł do matki.

— Niespodziewany gość z mamy. Proszę! — rzekł i podał rękę.

Grudowska nie ruszyła się, uniosła tylko wyżej głowę i, patrząc przymróżonemi oczyma na Sochackich, rzekła:

— Kogo tam masz?

W Hipolicie krew zakipiała.

— Wracam z Grudowa, — cedziła przez zęby pani Karolina, — a widząc światła we wszystkich oknach, myślałam, że masz gości.

— Tak, — są u mnie państwo Sochaccy.

Pani Karolina wruszyła ramionami.

— Cóż to za goście! — rzuciła.

I przeszła do salonu.

Pan Hipolit przygryzł wargi i, zwracając się do zmieszanych tą wizytą niespodziewaną i te mi słowami pogardy, rzekł głośno:

— Kończcie państwo wieczery, za chwilę wrócę do was.

Grudowska czekała na syna. Po chwili wszedł i z temi słowami zwrócił się do matki:

— Czy mama ten wieczór z nami przepędzić ma zamiar?

— Chciałabym przepędzić — z tobą.

— Nie jestem sam.

— Tamci mnie nie obchodzą, — odpowiedziała.

— W każdym razie tu przyjdą, i muszę mamę zapoznać z nimi.

— Co? mnie? — zawołała głośno Grudowska.

Pan Hipolit zauważył, że wizyta matki nie była niczem innym, jak tylko chęcią zrobienia afrontu Sochackim. Cel był widoczny, ale jak uniknąć przykrego spotkania się?

— Wybacz więc mama, że muszę przejść do jadalnego pokoju, gdzie zostawiłem gości przy wieczery.

Sklonił się i wyszedł z salonu.

W tej chwili panią Karolinę obchodziła tylko postać Maryni. Wszedłszy, gdy wszyscy z miejsc swych powstałi, zwróciła na nią wzrok baczny i zauważyła, że była piękną, że otaczał ją urok młodości i powab niewypowiedziany, ale zarazem zauważyła, że pod siłą jej wzroku ugięła się i zbladła. Zapamiętała jej oczy przestraszone, rozwarłe, z ogromną trwogą patrzące.

— Nie zapomnisz ty mnie tak prędko! — szepnęła.

Usiadła w salonie, rada będąc, że jak zły duch Banka, zmaćła wesele przed chwilą gwarnej uczy.

Rzeczywiście, przy stole jadalnym panowało milczenie. Daremnie pan Hipolit zapraszał, by jedli, potrawy schodziły nietknięte, z wielkiem zadowoleniem Sawka, a Marynia przestraszona oczy co chwila zwracała na drzwi salonu, jakby w nich miało się jakie widmo ukazać.

— Nie róbcie państwo nic z tej wizyty, wiecie jak jest i jak być musi, — szepnął Hipolit. — Przejdźmy tam!

— Tam? — spytała trwożnie Marynia, wskazując na pokój, w którym znajdowała się pani Karolina, a twarz jej była blada i usta drżały.

— Jak ty pobladłaś, — rzekł Hipolit, biorąc jej rękę. — Nie bój się, nie pozwolę cię skrzywdzić. Więc? — zwrócił się do siedzących.

Sochacki poruszył głową.

— Nie, nie, nie! — rzekł półszepem, — do siebie pójdziemy, do siebie, tak lepiej, lepiej. Czekać na pana tam będziemy.

I otarł zimny pot z czoła. Sochacka patrzyła na męża, na Grudowskiego, na Marynię, to na drzwi salonu, jakby pytała:

— Co to będzie? co my zrobimy?

Hipolit czuł, że trzeba pójść za radą Sochackiego, a widząc Marynię drżącą i bladą, uspakajając zaczął.

— Nie bój się niczego, przy tobie ja jestem i będę zawsze!...

Przytulił główkę jej do swej piersi i ucałował w milczeniu.

Sochaccy wyszli, wysunął się za nimi i Czubiński. Hipolit poszedł do matki.

Zastał panią Karolinę siedzącą na kanapie, — gdy wszedł, podniosła głowę i spytała:

— I cóż tam twoi goście — uciekli?

— Nie chciałem ich narażać na przykrość spotkania się z tobą, matko!

— Tak bardzo dbasz o nich?

— Więcej, niż sądzisz.

Grudowska utkwiała wzrok w spojrzeniu syna.

— Więc, — rzekła powoli, jakby ważąc wyraz każdy, — więc może jest to prawda, o czem nawet już służba folwarczna mówi?

— Tak, — odparł Hipolit. — Nie mając rodziny, rodzinę sobie stwarzam.

— Z Sochackich, Czubińskiego i kogo tam jeszcze? — spytała pani Karolina.

— Do grona tego wchodzi i to dziewczę, które na wejście twoje pobladło. To — twoja synowa przyszła.

Grudowska drgnęła.

— Co? — rzekła dumnie.

— Twojego serca, matko, nie miałem nigdy, zamknęłaś przedemną na zawsze skarb swych uczuć matczynych, odtrąciłaś, jakbym nie był twym synem, zdeptałaś, choć na miłość twą pracowałem. Twoje jest dzieło, twoim posiewem i to wystąpienie moje przeciw tobie! I dziś już nie masz prawa do mnie, do moich zamiarów, czynów i postanowień. Wyklnij, a twoja klątwa już mi nic nie zaciąży. Czuję ból, że mówię tak do ciebie, lecz wiedz wszystko!...

Grudowska milczała, a blada była, jak trup.

— Uderz jeszcze — rzekła — i to zniosę, lecz hańby rodu nie zniosę.

Hipolit odpowiedział:

— Pilnuj matko Grudowa, by tam na ród ten plama jakaś nie padła.

Na słowa te ognie gniewu zapaliły się w oczach pani Karoliny, zmierzyla syna od stóp do głowy wzrokiem pogardy i nienawiści śmiertelnej — i — miarowym krokiem opuściła salon.

Pan Hipolit uczuł jakieś rozdarcie we wnętrzu swej istoty i ból okrutny. Było to ostatnie pęknięcie łańcucha, który go łączył jeszcze z rodziną. Stał chwilę blady, ale oprzytomniał szybko i rozkazawszy Sawce pogasić światła, do Sochackich poszedł.

Sawko sumiennie spełnił rozkaz pański, ale przedtem wziął się do kurcząt, których sporo zostało na półmisku, całą salaterkę kompotu wyjadł, lżyknął spory kieliszek wódki *pour la bonne bouche* i otarł rękawem usta.

— Daj Panie Boże zdrowie starej pani, co przyszła, — rzekł, — a to już mnie w żywocie burczało.

Pogasił światła, czknął raz i drugi i rozłożył się szeroko w kredensie na tapczanie.

Pan Hipolit udał się do Sochackich. Posłyszawszy kroki wchodzącego, do sieni wybiegła Marynia i do piersi przypała.

— Nie opuścisz mnie? — szepnęła głosem trwożnym, — obronisz?...

— Bądź spokojna, gwiazdeczko moja, nie opuszczę i obronię, — mówił Grudowski, a czując, jak w ramionach mu drżała, jak się garnęła do niego, objął dłonią jej głowę, do twarzy swej przytulił i tak stali chwilę, biciem serca i gorącym ust tchnieniem mówiąc do siebie.

W saloniku chodził Sochacki z brwią namarszczoną, zobaczywszy pana Hipolita, przestępującego próg pokoju, zbliżył się szybko i rzekł:

— Panie dzieźciu, czy nie lepiej zerwać z nami?

Hipolit stanął nagle i dziwnym wzrokiem spojrział na Sochackiego.

— Na Boga! co za myśl ci do głowy przyszła?

— Panie dzieźciu, może kiedyś pożałujesz kroku, który dziś ci tak łatwym się wydaje. Ale zechciej rozważyć, panie dzieźciu! przeciwko tobie stanie brat, matka, a i sąsiedzi wszyscy szeptać zaczną i drwić, że Grudowski ożenił się z wnuczką ekonoma. Na pozór to nic, — ale powtarzane wciąż szeptaki, podobne zrazu do ukłuc komarów, zaczną cię kąsać później żądłem osy. Zbrzydnie ci świat, zbrzydnie żona, i będziesz klął chwilę poznania się z nami.

Gdy tak mówił Sochacki, usta pana Hipolita

coraz bardziej układały się do uśmiechu i coraz silniej garnał ku sobie Marynię, która, patrząc mu w oczy, zdawała się mówić: „Widzisz, nie jestem godną ciebie!” i coraz większy owiewał ją smutek i strach ogarniał. Ale pan Hipolit nie przerażał się słowami Sochackiego, spokojny stał, uśmiechnięty, wyniosły i dumny, stokroć wyższy nad przesady gawiedzi, panujący nad sobą i nad otaczającym go światem. Gdy Sochacki skończył, uśmiechnął się i rzekł:

— A ja myślałem, że ty mnie znasz lepiej, panie Sochacki? myślałem, że nie wątpię nigdy o rozumie moim, uczciwości i sercu. A przecie ten rozum nakazywał mi sądzić ludzi nie po zewnętrznych ich szatach; uczciwość nie dozwalała nigdy ugiąć się przed podłością, a serce— miałem zawsze jak na dłoni. I kiedyż to mi mówisz? Dzisiaj—gdym wyszedł już z ognia prób i z piekła udręceń! Z wami miałem spokój i przebłysk szczęścia, a teraz, gdy ono pełną jasnością słońca mi zabłysło, chcesz, żebym sam sobie oczy wydarł i nocą grobu się otoczył? Wiesz przecie, że z rodziną moją już wszelkie rachunki skończone, a duszą (tu przygarnął Marynię do swej piersi) tak do niej przyrosłem, że bez śmiertelnej rany nie odszedłbym już od niej! Za parę tygodni nasz ślub, za parę tygodni przeniesiem się do Piasków lub tu zostaniemy.

A dotykając ustami czoła ukochanej dziewczyny, szepnął:

— Czy ty nie drżysz na dźwięk tego wyrazu: ślub?...

Marynia odpowiedziała:

— Pójdę za tobą, kochająca zawsze i wierna! To mówiąc, zarzuciła mu ramiona na szyję.

— Rozłącz nas teraz, panie Sochacki!—zawołał Hipolit, a uśmiech dumy i szczęścia wyblęsnął mu z twarzy.

Sochacki ryknął płaczem, Basieczka chlipała cicho, a Hipolit i Marynia stali spokojni, promienni, złączeni pocałunkiem ogromnej miłości...

— Wybacz, panie dzieźciu, wybacz—przez łzy mówił Sochacki.—Ale to ja i pan... my i wy... świat tak urządzony. Ja chciałem ciebie oszczędzić, panie dzieźciu, usunąć się, pójsz precz... A! czy ja wiem, czego chciałem.

I płakał, tuląc w ramionach rozrzewnionego Hipolita i Marynię, na której czole błąkała się myśl poważna, w której oczach łzy stały, siłą w li powstrzymane.

Godzina już była spóźniona, diatwa spała, a le panu Hipolitowi i Sochackim nie kleiły się oczy do snu, — siedzieli w pokoju Basieczki i układali plany przyszłości.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z LONDYNU.

Początek Lipca.

Kilka dni temu, t. j. 26 Czerwca r. b., w ogromnej hali Westminster Church House, w gmachu, do którego angielskie kobiety już oddawna tak gorąco wdychają, miało miejsce otwarcie międzynarodowego kongresu kobiet. Otwarcie odbyło się właśnie w chwili, kiedy Izba wyższa z bezwzględnością, pozbawioną wszelkiej galanterii, odmówiła kobietom prawa zajmowania urzędów radców miejskich Londynu. Dzień był nieznośnie upalny i śmiało można przyznać niewątpliwą wytrwałość tym członkom kongresu, którzy powodowani gorętszym jeszcze przejęciem dla dobra sprawy, aniżeli wysokość temperatury zewnętrznej, dobyli do końca posiedzenia.

Oryginalny widok przedstawiała olbrzymia sala, zapełniona przedstawicielkami płci nadobnej rozmaitych narodowości, przybyłymi z różnych stron świata dla porozumienia się i bronięcia sprawy ciągle wszędzie wywołującej dyskusje, sprawy emancypacji. Nie można po-

wiedzieć, by pośród obcych przedstawioelek przeważała liczba młodych, natomiast liczba tych przeważną była pośród Angielek, które już po samem ubraniu odrazu poznać było nietrudno jako mieszkanki Londynu. Połowa silniejsza rodu ludzkiego bardzo nielicznie była reprezentowana. Wpółśród uczestniczek kongresu naliczyć można było parę tuzinów takich, które krojem stroju i krótko obciętemi włosami starały się upodobnić do mężczyzn. Były też i takie, które wyglądały wprost dziwacznie, większość atoli ubraną była w kostjmy letnie gustowne, lecz skromne, odpowiednie do powagi chwili. Róże zdobiące trybunę mówcy i wspaniały bukiet tychże kwiatów, stojący na stoliku przewodniczącej, zdradzały, że to zebranie kobiet.

Przewodniczącą była lady Aberdeen, żona byłego gubernatora Kanady, imponująca, piękna kobieta lat średnich. Jest to osoba, która łączy szeroką wiedzę i energję z niezrównanie dobrem, szlachetnem sercem. Niezwykle rozumna, pojmuje wybornie, jakimi są potrzeby kobiet, jakimi powinny być ich aspiracje i jasny cel widzi przed sobą. Nadzwyczaj przytem uprzejma, miła, wytworna, niewątpliwie pozyskać umiała serca wszystkich zebranych bądź to uściskiem ręki, bądź spojrzaniem, uśmiechem, czy ciepłym zachęcającem słowem.

Prezylująca witała przedstawicielki najrozmaitszych narodowości, przybyłe z Kapu, z Indjy, z Tasmanii i Nowej Zelandyi, z północnej i południowej Ameryki, z Chin i z najbardziej na północ wysuniętych krajów Europy, z Finlandyi i Norwegii. Każda z nich wypowiadała swoje poglądy i aspiracje w języku angielskim, kalecząc go przytem mniej lub więcej obcym, czasem dziwnie śmiesznym akcentem. Jedynie Francuzki odmówiły wypowiedzania myśli swych w mowie angielskiej i odzywały się po francuzku, pewne, że zostaną zrozumiane. Po sposobie odzywania się można było poznać charakter narodowości, do jakiej ta lub inna przedstawicielka należała. Jedne mówiły podniesionym głosem, dopełniając swą mowę żywymi gestami, do tych należały przeważnie przedstawicielki południowych krań, a także Amerykanki; inne znów mówiły tak cicho, że je trudno było dosłyszeć i widocznie czuły się oniesmielone; pomiędzy temi większość była Niemek. Mała Chinka, której drobna postać ginęła prawie w brązowym jedwabnym, o długich szerokiech rękawach, zasianym haftowanymi kwiatami kaftanie, córka byłego wice-króla w Nankinie, przybyła na posiedzenie ze swoim mężem, sekretarzem ambasady, który mowę jej odczytał po angielsku. Chinka przyglądała się z podziwem zgromadzonym kobietom i jak lalczka kiwała głową, przybraną kunsztownem uczesaniem i gwiazdkami z pereł. Z mowy jej dowiedzieliśmy się, że kobiety chińskie w życiu rodzinnem nierównie ważniejszą odgrywają rolę, aniżeli ta, którą im w Europie przypisują. Dla macierzyństwa żywią Chińczycy kult szczególny i już to samo tłumaczy, że kobieta, przynajmniej w pewnych okresach, zajmuje w życiu domowem naczelné miejsce.

Kobiety chińskie po większej części skłaniają się do buddyzmu i są niezmiernie zabobonne. a to, że na czele rządu chińskiego stoi kobieta, ma też pewien wpływ na ustrój domowego życia. Żona sekretarza ambasady nie jest jedyną przedstawicielką Chin na kongresie; oprócz niej trzy jeszcze chińskie kobiety brały udział w rozprawach, między temi panna Kang, która zdobyła stopień doktora medycyny w amerykańskim uniwersytecie.

W tem, o czem rozprawiano, dużo było wspólności poglądów i pragnień; ogólny poklask zyskało wystąpienie przedstawicielki stowarzyszenia „Union internationale des amis des jeunes filles.” Młoda osobka sympatycznym głosem wypowiedziała mowę na temat słów: „cherchez la femme!” które kryją zwykłe pojęcie czegoś złego, zgubnego. Należałoby, jak mówiła prelegentka, zmienić myśl owego utartego wyrażenia w ten sposób, żeby je ludzie wypowiadali wtedy, gdy w umyśle ich powstanie pojęcie o dobrem i szlachetnem. Mowa ta wygłoszona była

z takim przejęciem i z taką szczerością, że poruszyła wszystkich. Krótkie słowa tej głęboko odczutej mowy zawierały więcej dobrych zasad i treści, aniżeli niejeden długi, uczony elaborat.

Posiedzenie pierwsze trwało do godziny szóstej i lady Aberdeen, pomimo wysiłku, żeby tego nie okazać po sobie, była potężnie znużona. Był też wielki czas po temu, aby odpocząć trochę, ponieważ około 9-ej, uczestniczki kongresu miały zebrać się u księżnej Sutherland, gdzie czekało ich przyjęcie i gdzie miały miejsce dalsze obrady. Na księżnę Sutherland spadł obowiązek zastąpienia lady Aberdeen.

W à giorno oświetlonych salonach przyjmowała księżna swoich gości, a niezmordowana lady Aberdeen pomagała jej w tem, roztaczając w około czar, z którego słynie w wyższych towarzystwach Anglii. Przeszło tysiąc osób przesuwało się przez wspaniałe, stylowe salony, zawieszzone wspaniałymi obrazami najpierwszych mistrzów. Po pierwszych powitaniach, tworzyły się grupy, rozprawiające żywo w rozmaitych europejskich i nieeuropejskich językach. Węgierska kapela urozmaicała czas zebrany gościom.

Pomiędzy uczestniczkami kongresu snuli się też i panowie, o ile zauważyć mogłem, ci sami, którzy znajdowali się na pierwszym posiedzeniu i razem z damami obradowali nad dalszemi pytaniami kongresu. A więc: Czy stanowisko kobiety w dzisiejszych czasach jest wynikiem zwyczajów uświęconych wiekami? Co należy czynić, aby kobieta mogła rozwijać się samodzielnie i nie być narażoną na duchowe osamotnienie? That is the question.

W dalszych obradach mówiono o warunkach, na jakich kobiety dopuszczane bywają dzisiaj do wyższych zakładów naukowych; zaznaczono też, do jakich rezultatów dochodziły kobiety, mające uniwersyteckie wykształcenie. Kobiety z dumą dowodziły, że począwszy od karmienia dzieci, a skończywszy na badaniu astronomicznych zjawisk, zajmują się one wszystkim i wszystko pogodzić umieją.

Rozumie się, że scena teatralna stała się także w obradach ważną kwestyą, przedstawiając szerokie pole pracy dla wielu kobiet na całym świecie. Miss Kendal przemawiała za postępowaniem w kierunku moralno-społecznym aktorek; zaznaczała, że obieranie zawodu aktorki przez kobiety, pozbawioną potrzebnych ku temu warunków, nie powinno być wcale dopuszczane. Pierwszemi zaś warunkami, według miss Kendal są: rzeczywiste do sztuki aktorskiej zdolności, głos odpowiedni i dobre zdrowie. Zdanie miss Kendal poparły inne uczestniczki kongresu, niemiecka zaś aktorka Mina Mardon, młoda i piękna, dobrze mówiąca po angielsku, wystąpiła z protestem przeciwtemu, że dotychczas praca aktorska, tak samo jak i inne prace, przynosi kobietom mniej zysków, aniżeli mężczyznom. Z wyjątkiem pierwszorzędných, wyjątkowych gwiazd, ogólnie biorąc, aktorki gorzej są płacone niż aktorzy.

Dalsze dyskusje nad zrównaniem zarobku kobiet i mężczyzn i nad potrzebą klubów specjalnych, gdzie kobiety znalazłyby pożyteczną i przyjemną rozrywkę, przeciągnęły się bardzo długo i dowiodły w końcu, że na zebraniach, na których uczestnikami są kobiety, koniecznym jest zaprowadzenie kolejnego prawa głosu.

Mrs Flora Steel opracowała bardzo mozolny wykaz, jak szerokie pole zajmuje praca kobiet w ogólnej literaturze świata i dowodziła, że to jest właśnie pole, na którym najbardziej lub mniej samodzielnym kierunkiem wykształcone kobiety głównie szukać powinny zajęcia.

Następne posiedzenia miały za cel obrady nad pracą kobiet w fabrykach i nad reformą domowej kobiecej służby. Mrs. Walter Ward upatruje brak dobrych służących w tej przyczynie, że dotychczas służące zamało są w domu cenione i szanowane. „Trzeba — mówi pani Ward — przykre nieraz zajęcia służącej nietylko wynagradzać dobrze, lecz nadto, osładzać uznaniem i pewnym szacunkiem, aby istoty szlachetniejszej natury chętniej przyjmowały na siebie obowiązki służy. Służące w domu powinny być

uważane za pomocnice gospodyni, nie zaś za robotce z wierzęta.

Wszystkie kwestye, poruszane na kongresie, do których w dalszym ciągu należą: kwestya pracy i warunków bytu w domach poprawczych, kwestya szkolnictwa i wiele innych, nadspodziewanie szeroko były opracowane. Niejedna z uczestniczek kongresu przedstawiła pełne wartości, statystyczne dane. Prasa angielska nie szczędzi też słów uznania dla biorących udział w kongresie, które przybyły nań z taką sumą przygotowawczej pracy.

Najmniejszą sympatją prasy cieszy się kwestya politycznego życia kobiet. Dzienniki niektóre po prostu żartując z niej, podchwyciły charakterystycznie kobiece wystąpienie pani Sheldon Amos, która z istic kobiecą taktyką znalazła radę na przeprowadzenie swoich ambitych, politycznych aspiracji. „Mąż, przeciwny samodzielnemu występowaniu żony w życiu publicznym — mówi pani Sheldon Amos — ciężko może odpokutować swoją tyraniją w życiu domowym. Złe obiady mogą doskonale służyć za środek represyjny.“

Ostatnie posiedzenie kongresu poświęcone było najbardziej praktycznym zajęciom kobiet, t. j. gospodarstwu. Tylko księżna Sutherland odbiegła od tego przedmiotu i poruszyła raz jeszcze kwestyę pracy kobiet w literaturze, pojęcia jej atoli w tym względzie, nadto optymistyczne, nie zyskały uznania i w końcu przekonano ją, że za mało posiada danych do odczucia nader ciężkiego bytu niewiast, pracujących piórem.

Ostatnie obrady wykazały, że Angielki, słynące z praktycznego wychowania, w domowym gospodarstwie daleko jeszcze stoją za Niemkami. Kilka Angielek wystąpiło z myślą zwiedzenia zakładów wychowawczych w Niemczech, gdzie domowe gospodarstwo, kuchnia, a nawet pranie traktowane są jako wiadomości kobiecie konieczne potrzebne.

Rozumie się, że każdy kongres, a tem samem i kongres kobiet, nie mógł się obejść bez szeregu zabaw i uroczystości. Pomiedzy zabawami najwspanialszą pewnie była *garden party*, wydana w Gunnersbury Park przez lady Rotschild i panią Leopold de Rotschild. Nieporównana piękność ogrodu i urozmaicony program złożyły się na stworzenie prawdziwie czarodziejskiego obrazu. Gospodynie przyjmowały gości na tarasie, zarzuconym girlandami najwspanialszych kwiatów i uiluminowanym z bajecznym przepychem. Aleje olbrzymiego parku były tak oświetlone, iż było w nim prawie widno, a na każdym kroku spotykały gości niespodzianki, które nawet osoby, przyzwyczajone do tego rodzaju przyjęć wprowadzały w zdumienie. Oprócz uczestniczek kongresu, pomiedzy gośćmi naliczyć można było kilkaset osób, należących do najpierwszych rodzin angielskich. Pierwszorzędni artyści teatrów londyńskich nie mało dodawali ponęty programowi zabawy.

Znakomity humorysta amerykański, Mark Twain, gości obecnie w Londynie i jest podejmowany bardzo owacyjnie przez literackie koła i rozmaite kluby. Tak zwany „Nowy klub włóczęgów“ wydał na cześć Twain'a wspaniałe bankiet, podczas którego rozweselony humorysta żartował, że radby skorzystać ze sposobności i wpłynąć na umoralnienie licznie zgromadzonych „włóczęgów.“ Tu, zagadnięty ze wszystkich stron, począł wykladać teorię nowych zasad etyki z takim nieporównanym humorem, z taką improwizatorską brawurą, że towarzysztwo całe uniesione było zachwytem.

Życie wielkomięjskie i ruch w Londynie zazwyczaj później na miesiące ustają, aniżeli w innych miastach. Przyczynia się do tego parlament, który zatrzymuje w stolicy rodziny członków Izby. Teatry do tej pory są jeszcze dobrze zapełniane i nie mało wywołało wrzawy i protestów pozwolenie palenia tytoniu w wielu teatrach Londynu. Opera i inne pierwszorzędne teatry niewątpliwie wolne będą od tego nowego a tak szpetnego zwyczaju, który jedynie dla miłego grosza mniejsze sceny wprowadziły w ostatnim sezonie.

Dyrektorowie kilku teatrów udali się do lorda

Chamberlaine'a z prośbą o udzielenie pozwolenia na ten niedorzeczny przywilej, a nie trzeba dodać, że powodowała nimi myśl ściągania przez to liczniejszych widzów. W tak zwanych „Music Halls“ palenie już dawniej zostało wprowadzone, opierając się więc na tem, dyrektorowie teatrów żądali go dla siebie. Dowodzili, że w Palace Theater, który jest właściwie tylko taką Music-Hall, palenie nikogo nie odstrasza i że widuje się tam najwytworniejsze towarzystwo dam, znoszących bez szemrania dym z papierosów lub cygar sąsiadów. Anglicy palą tak wiele, że każda niemal z kobiet przyzwoconą jest do dymu w swoim domowym otoczeniu. Można by tu dodać jeszcze, że liczba palących wzrasta w Anglii z każdym rokiem i że trudno dziś znaleźć damę z wyższego towarzystwa, któraby wolną była od nałogu palenia. Trudno jednak zgodzić się na to, aby kłęby dymu stanowiły ulepszenie teatralnego widowiska, a zaś atmosfera przesiąknięta zapachem tytoniu, szczególnie w starych, źle wentylowanych teatrach, nie przyczyni się do uprzyjemnienia przepędzonego w nich czasu.

Pomiedzy teatralnymi bywalcami wielkie zainteresowanie wzbudziła Sara Bernard wystąpieniem w roli Hamleta. Byli tacy, którzy pospieszyli do Paryża, aby podziwiać znakomitą aktorkę, ale powrócili zawiedzeni. Dla Anglików nie jest nowością odtworzenie postaci tej przez kobietę. Przed Sarą Bernard trzy angielskie aktorki występowały w roli Hamleta z powodzeniem. Miss Alice Marriot, miss Janette Steer i mrs. Badmann Palmer.

Pisma angielskie bawią się powtarzaniem ankiety wystosowanej przez gazety francuzkie. Chodzi tu o rozwiązanie wielokrotnie podnoszonego tak w Anglii, jak i we Francji pytania — jak Hamlet wyglądał? Odpowiedzi na to pytanie wypadły nader zabawnie. Tworzą one najdziwniejsze zestawienie zdań sprzecznych zebranych w tym przedmiocie u badaczów i znawców literatury i historii. Można by dużą nagrodę wyznaczyć temu, ktoby z odpowiedzi powyższych odtworzyć umiał obraz Duńskiego księcia. Signora Diligenti jest zdania, że Hamlet był typem mieszkańca północy. Jasny blondyn, silnie zbudowany, w wieku od 27 do 28 lat. Rachilde wyobraża sobie Hamleta małym, chudym, bardzo brzydkim, o cerze szpetnej, bez zarostu, w wieku pomiedzy 25-ciom a 60-ma latami. Jarry wmawia, że bohater Shakespeare'a nie był chudym a tłustym, że wyglądał dość spolicie — i tak samo jak Rachilde twierdzi, iż Hamlet nie miał zarostu. Jest to jedyna wspólność pojęć w całym bogactwie zdań o Hamlecie. Maks Nordau uważa większość pytań, na które ma odpowiedzieć za zbyteczne, ponieważ, jak twierdzi, Shakespeare sam już na pytania owe odpowiedział. Uprzedzam, że Nordau zabawił się w humorystę. A więc Hamlet miał lat 30, był wzrostu średniego, wygolony, nosił długie, kasztanowate włosy, gruby był i ociężały. Nordau tłumaczy zkąd tak wnosi. Oto Hamlet był studentem w Wittenbergu i tam, jako młodzieniec, pochodzący z dobrej rodziny, odznaczał się bohaterскими czynami. Wypijał od 20 do 30 kufli piwa codziennie, co naturalnie musiało wpłynąć na jego tuszę i sprowadziło otłuszczenie serca. Następstwem tego był krótki, utrudniony oddech. Przeciwwstawieniem do powyższego opisu jest zdanie Blanche'a, według którego Hamlet wyglądał jak młody, jasnowłosy Anglik, z pozorów nieśmiały, atoli z wyrazem okrutnej energii i stanowczości w napół przymkniętych oczach, podobny do typu młodych synów Albionu, przybywających do stolicy Francji w celu studyowania sztuki w pracowniach mistrzów paryzkich. Esnault skreśla postać Hamleta, jako człowieka po latach 30-stu, mówi o nim, że był wzrostu dobrego, bardzo przytem niepiękny, niezgrabny, trochę krzywy.

Dość chyba tego, aby pozostać przy własnym, indywidualnem pojęciu.

S.

NIEDOLA.

OBRAZEK.

(Dalszy ciąg).

Po suchej w tym roku jesieni nastąpiła wreszcie dość mroźna zima.

Pola i lasy pokryła dość gęstą warstwą białego całunu. Zamiast wesołego świergotu, słychać jeno było chrapliwe krakanie wron, polujących na żer; nocami zaś nierzadko też dolatywało złowrogie wycie wilków, które w tym roku niespodziewanie pojawiły się w lasach okolicznych. Żewicki, spędzając ostatnie miesiące w Laskowie, po uprzednim porozumieniu się z panem Kolskim, urządził wielkie polowanie z naganką, uwieńczone pomyslnym rezultatem zabicia kilku wilków; w ogóle jednak tryb życia we dworze nie był tak zakłóconym wypadkami godnymi bacniejszej uwagi. Wiktorya zajęta pracą, nie narzekała na nudy; martwił ją tylko stosunek do obojga stryjostwa. Byli oni wprawdzie dla niej zawsze uprzedzająco grzeczni; cóż z tego — gdy grzeczność ta owiana była takim chłodem, że wprost mroziła i odpychała dziewczynę, ilekroć tylko żywe usposobienie zanadto zdawało się zbliżać ją do nich. Wówczas dopiero czuła, iż jest sierotą, obcą w tym domu, gdzie prócz zdawkowej grzeczności, nie miano dla niej cieplejszych uczuć rodzinnych. Osobliwie ciotka raziała ją swem chłodnym obejściem, ale i stryj Paweł nie mniej zdawał się trzymać opornie; jeden tylko Tadzio dał jej tyle serca, że mogło ono — jak sam zapewniał — starczyć za wszystkie razem wzięte uczucia całej rodziny. Kochał ją — wyznał już swoje kochanie, i co najważniejsza, posiadał wzajemność...

Tajemnicy serc dwojga nie znał nikt, oprócz nich samych, bowiem obawiali się, aby duma stryjenki nie stanęła na drodze ich szczęściu.

Pewnego poranku Tadeusz, spotkawszy się sam na sam z Wiktoryą, zawołał:

— Czy pani już wie o Żewickim?

— O panu Żewickim? — powtórzyła zdziwiona — nic nie wiem nowego.

— Otrzymał do ręki spadek całkowity, wczoraj wieczorem podpisał kontrakt nabycia na własność majątku ziemskiego.

Panią obojętnie wzruszyła ramionami, jakby tym sposobem chciała powiedzieć, że fakt powyższy niewiele ją w ogóle interesuje.

— A czy wie pani, że od tej pory będzie on naszym nader blizkim sąsiadem?

— Któryż majątek stał się obecnie własnością pana Żewickiego?

— Niech pani zgadnie!

— Ależ nie zgadnę.

— Karczówka.

— Co?!...

— Karczówka — powtórzył Tadeusz, lecz widząc, że Wikcie nagle oblał szkarłat silnego rumieńca, zapytał:

— Czy pani ta wiadomość wydaje się nieprawdopodobną?

— Owszem — mówiła drżącym nieco głosem — ale doprawdy, dziwne rzeczy, iż pan Żewicki nic mi o zamiarach swoich nie wspominał, a wypadało mu to uczynić, chociażby już tylko z tych względów, iż Karczówka jest moim miejscem rodzinnym, więc nigdy nie może być dla mnie obojętną.

— No — tak, ale widzi pani, ten Żewicki to dziwak nielada! Od pewnego czasu zwłaszcza stał się tak milczącym i w sobie zamkniętym, że niepodobieństwo bodaj cośkolwiek z niego wydobyć.

— I kiedyż wyjeżdża na nowe gospodarstwo?

— Święta przepędzi w domu swoich rodziców, do Karczówki zaś zjeżdża podobno zaraz po Nowym Roku.

— Więc ztąd wyjedzie już wkrótce?

— Za dziesięć dni.

Dalszą rozmowę przerwało wejście służącej, która przysłała nakrywać stół do śniadania.

Po mroźnym dniu grudniowym, gdy już noc roztoczyła swoje panowanie, Wikcia, ułożywszy znużoną głowę w pościeli, puściła wodze smętnej myśli.

Mój Boże—dumała dziewczę—czemuż to mnie nieba nie pozwoliły pozostać przy tym kawałku czarnej gleby! Jakąż ja mogłam być szczęśliwą, żyjąc przy boku tego, który jest dzisiaj dla mnie wszystkim na świecie. Ze łzami na znużonych powiekach usnęła, a dziwne miraż owładnęły jej roz tęsknioną duszą... Wraz z Tadeuszem siedzieli teraz oboje w oknie karczewickiego dworku, spoglądając z rozkoszą na dojrzewające łany złocistej pszenicy, skąpane w purpurowych promieniach zachodzącego słońca. Tam w oddali mienił się sinemi barwami las iglastych sosen, a nad tem wszystkim płynęło echo rzewnej a tęsknej pieśni koniuchów i żniwiarek, powracających z pola. Te złote łany pszenicy—ten pas sinawy drzew iglastych, te łąki, te pola, wszystko to było ich własnością, to słońce przyświecało ich szczęściu, a pieśń była hejnałem serdecznej wieczystej miłości.

Z pierwszym jednak odbłaskiem świtu Wikcia, zbudziwszy się nagle, ciężko westchnęła.

— A więc to sen był?! Sen złudny—nie więc!

W parę godzin później, gdy była już ubrana, ktoś zlekka do jej drzwi zapukał.

— Kto tam?—spytała, trochę zdziwiona tak rannem pukaniem.

— A dyć ja — Grześ, proszę wielmożnej pani.

Otworzyła drzwi.

— Czego chcesz o tej porze?

Grześ nic nie mówiąc, wydobył z sukmany owinięty w bibułę list i oddał go Wiktorii.

— Od kogo to?

— Wielmożny pan rzadca kłania się i prosi, coby panią dała odpis, albo bodaj słowną odpowiedź.

Rozerwawszy pieczętkę, poczęła czytać.

„Panil“

„Za parę dni w Laskowie nie pozostanie nawet wspomnień o mnie; przed wyjazdem jednak muszę z Tobą zamienić bodaj słów kilka bez świadków. Sprawa ta zarówno ciebie dotyczy. Sądzę zatem, iż uznawszy słuszność usilnej prośby, zechcesz ją spełnić, lecz gdzie i kiedy — racz donieść ustnie lub piśmiennie. Oddawca listu pewny; ręczę za niego. Szczery sługa Ludwik Ż...“

— Czyś ty wierny dla swego pana?—spytała Wikcia, patrząc badawczo na chłopaka.

— Nie przymierzając jak ten pies!—odparł reolutnie, ukazując w uśmiechu dwa rzędy zdrowych zębów — bo i poczciwe to jest panisko! aj poczciwe, mój pan...

— A nie wypaplesz przed kimś obcym tego co ci powiem?

Parobek przecząco kiwnął głową.

— W takim razie daj znać twojemu panu, że zupełnie nie odmawiam prośbie jego, i jeśli pragnie pomówić w interesie, w takim razie niechaj dzisiaj popołudniu przyjdzie tu do dworu i oze-

kuje na mnie w salonie — tyle uczynić mogę. Tylko czy będziesz umiał wiernie powtórzyć słowa moje?

— Już cię że powtórzę dokumentnie, jeno wiem, że panu rządcy będzie markotno — dodał Grześ, patrząc na Wikcię ze smutkiem, malującym się w pocziwych jego oczach; poczem pocałował ją w rękę, oddał się w stronę zabudowań folwarcznych.

Po odejściu posłańca, dziewczyna pograżyła się w zadumie. Żałowała nawet teraz trochę Żewickiego, mimo to zdawało jej się, że postąpiła dobrze, odmawiając zejścia się w odosobnionem miejscu. Czemu jednak dzień cały, pomimo pięknej pogody, wydawał się jej nad wyraz smutnym — nie umiała dać na to odpowiedzi. Na domiar złego, Tadeusz wyjechał do pobliskiej osady, stryjenka zaś, będąc dzisiaj kostycznie jakoś usposobiona, parę razy dała jej zlekka uczuć swoje nieukontentowanie. Wikcia sądziła, iż Żewicki przyjdzie po obiedzie, lecz on śnać obrażony, nie pokazał się ani na chwilę. Po pięknym, wyjątkowo pogodnym dniu, wspaniała noc księżycowa roztoczyła swoje panowanie.

Wiktorija, czując dość silny ból głowy, trapiący ją już od paru godzin bezustannie, narzuciwszy na siebie ciepłą chustkę, wyszła przed ganek dworu, aby odetchnąć świeżem a mroźnem powietrzem zimowego wieczoru. A może też pragnęła usłyszeć turkot bryczki, zbliżającej się za opłotkami ogrodu od strony szosy wiodącej z miasteczka... może!... Znalazłszy się wszakże w głównej alei ogrodu, szła przed siebie zadumana. Wzrok jej błądząc z przedmiotu na przedmiot, spoczął wreszcie na starej lipie, rzucającej dokoła cień kolosalny, gdzie niegdzie jeno poprzerzynany srebrzystymi smugami światła. Myśl dziewczęcia biegła w dal pod ukochany dach karczewickiego dworku.

Jakżeby ona pragnęła żyć tam razem z tym, którego kocha nad życie!... Cóż z tego, gdy marzenia te nie spełnią się nigdy! — szeptała do siebie zasmucona — niestety — nigdy! — powtórzyła bezwiednie, lecz w tejże samej chwili oniemiała z przerażenia... Jakby z pod ziemi wyrosła postać ludzka, stanąwszy nagle przed Wikcją, patrzyła na nią dwójgim błyszczących oczu.

— W imię Ojca i Syna! — przeżegnało się strwożone dziewczę; opanowawszy jednak pierwsze wzruszenie, rzuciła pytanie:

— Kto to?!

— Ja — brzmiała lakoniczna odpowiedź.

— Ach, to pan Żewicki! nie poznałam pana w pierwszej chwili. Ale jakże też przestraszyłam się bardzo!

— Przepraszam panią! serdecznie przepraszam! czyż jednak moja w tem wina, że mimo woli stałam się przyczyną jej trwogi?

— Bynajmniej, panie, ja nie mam urazy...

— I żadnego interesu — dodaj pani przytem — skoro nie raczyłaś zgodzić się na kilka chwil rozmowy w sprawie nie cierpiącej zwłoki.

— Owszem, toż oczekiwałam pana we dworze.

— We dworze! — zaśmiał się Żewicki — pani chyba żartuje?!

— Nie widzę w tem nic śmiesznego — zauważyła Wikcia.

— Sądziś więc pani, że najdroższą tajemnicę moją mógłbym wyjawic w obec obojętnych świadków, dla tego chyba tylko, aby mieli temat do gawędy przy wspólnym stole?

— Tajemnicę?!

— Nie inaczej.

— Zapewniłam przecież pana, że możemy porozmawiać w jego sprawie w salonie...

— Tak, ale rozmowa nasza, prowadzona na stronie, musiałaby zwrócić uwagę wszystkich domowników, a podobny szczegół nie wydaje mi się zbyt pożądanym.

— List pański nie wspominał o żadnych tajemnicach, sądziłam więc...

— Dość tego, panno Wiktorio! — wybuchnął Żewicki, a w głosie jego drgała nuta serdecznego wyrzutu — dość tego, panie! W twojem sercu nie ma ani odrobiny litości! i to mnie teraz boli najbardziej.

— Panie Żewicki! — podchwyciła — panie Żewicki! czym ja zasłużyła na podobne wyrzuty?!

— O tak, pani, bo i czemu od pewnego czasu mrozisz mnie chłodem twojego spojrzenia, wiedząc przecież o tem dobrze, że nie masz na tym świecie bardziej wiernego przyjaciela nademnie.

Wiktorija zmieszała się na razie, po chwili wszakże zebrałszy myśli, odrzekła:

— Dzięki ci, panie Ludwiku, za te słowa sympaty, o ile naturalnie nie przechodzą one granic zwykłej a szczerej przyjaźni...

— Otóż to właśnie, że lekasz się pani mego wyznania, chociaż nie od dzisiaj nawet, być może, domyślasz się czegoś więcej nad ciche uczucie przyjaźni...

— Doprawdy... wierzaj mi pan, że niczego się nie domyślam... i nie chcę...

— Nie obawiaj się pani — przerwał jej Żewicki — po nad to co wyrzekłam, nic więcej nie powiem. Za tydzień jadę do Karczewki i tam w ciężkiej pracy będę szukał ukojenia. Teraz zaś, by nie narazić pani na nieprzyjemności, mogące wyniknąć w razie ujrzenia nas w tej ustroini — żegnam cię!

I przy tych słowach, zanim mogła coś przemówić, Żewicki znikł w cieniu ogrodowej alei. Ona pozostała sama, oszołomiona słowami młodzieńca, a czując, że dziwny strach przejmują ją w tej ciszy zimowego wieczoru, szybko skierowała swe kroki w stronę, gdzie złocistem światłem błyszczały szyby pokojów we dworze.

Na zapytanie stryjenki gdzie była, odrzekła, że z powodu silnego bólu głowy, musiała się przejść po ogrodzie.

— W taki mroz i o tej godzinie! — zauważyła z przekąsem pani Pelagia — no, no, to trzeba być na to nielada amatorem!

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 15-ty powieści, p. t. *Dwóch ludzi*, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Treść: Manifest Najwyższy.—Na werendzie. (Pogawędka) przez ??—Matka-muza, przez X. Y. Z. (dalszy ciąg).—Kazimierz Gliński. Krzywda. Powieść (dalszy ciąg).—Z Londynu, przez S.—Niedola. Obrazek (dalszy ciąg).

Dodatek obejmuje: *Dwóch ludzi*, powieść, przez Idę Boy-Ed. Przekład Z. S. arkusz 15-ty. — Przegląd mód. 24 wzorów i robót z opisem Sekretu gospodarskie.—Dyspozycya obiadu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.—Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg
Дозволено Цензурою.—Варшава, 30 Іюня 1899 г.

Ubrania na koncerty, zebrania i t. p.

Rycina Nr 1 i 2.

Ubranie rycina Nr 1, z blade-lila „crêpe de ohine'u," składa się ze spódnicy, ułożonej z przodu w zakładki, od boków oszytej drobnymi falbankami i z tuniki, otwartej z przodu, połączonej z fantazyjnie wyciętym stanikiem. Tunika, stanik, oraz rękawy, w górze i przy ręku, zahaftowane są pięknym, ręcznym haftem, jedwabiami do cieniu, w połączeniu z wyszyciem srebrnymi pailletkami. Stanik otwiera się na bluzce, ułożonej w zakładki, które też stanowią górę rękawów.

Ubranie rycina Nr 2, z koronki „duchesse," białej materyi i białego, jedwabnego muślinu, nadzwyczaj strojnie i dystygownie wygląda. Spódnica koronkowa z wysoką falbaną, nieco powłóczysta, spływa na spódnicy jedwabnej, białej. Koronkę, upiętą w rodzaju bolera na marszczonym w stanie, w górze ułożonym w drobne zakładki staniku spinają z boku czarne, aksamitne kokardy. Taką samą kokardą spina stanik w pasie. Na wysokim, stojącym kołnierzyku, naszyte są trzy aksamitki, spięte małemi, brylantowymi agrafkami. Rękawy koronkowe, w górze zakończone są zakładkami z jedwabnego muślinu.

Ubranie dla chłopczyka od 6—7 lat.

Rycina Nr 3.

Ubranie to składa się z białych, szewiotowych majteczek, ściągniętych przy kolanach i z szewiotowej, niebieskiej, marynarskiej kurtki, zapiętej z boku na drobne, złożone guziczki. Duży, biały, płócienny, marynarski kołnierz, osyty niebieską taśmą, otwiera się na trykotowej koszulce w białe i niebieskie pasy.

Sukienka dla dziewczynki od 8—9 lat.

Rycina Nr 4.

Sukienka ta z ponsowego „voile'u," przybraną jest czarnymi aksamitkami i czarnym aksamitnym paskiem. Wycięta bluzka, w luźną fałdę ułożoną z przodu, podłożona jest szmizetką gładką z białego „taffetas." Brzeg bluzki, dół spódniczki, rękawy przy ręku i małe epoletki, naszyte są czarną, wążką aksamitką.

Kostium spacerowy z kaftanikiem.

Rycina Nr 5.

Spódnica zupełnie gładka, kaftanik w kształcie bolera, rozchodzi się na kamizelce z żółtawej gipiury, podłożonej niebieską, jedwabną materyą. Krótkie wyłogi u kaftanika, naszyte są gipiurową wstawką, również podłożoną niebieską materyą. Kostium wykonany jest z brązowego sukienka. Na pasek użyty brązowy aksamit.

Ubranie z gipiury i krepowego materiału.

Rycina Nr 6.

Na plisowanej spódniczce czarnej z krepowego materiału, spływa tunika, mocno na bokach podcięta, z czarnej, pięknej gipiury. Bluzkowy staniczek, tak samo plisowany jak spódnica, trzy razy naszyty jest poprzecznie gipiurą. Naszycie przy szyi

tworzy rodzaj karczka, zakończonego wysokim stojącym kołnierzem. Rękawy całe z gipiury. Na pasek użyty jest wążki ukos z aksamitu.

Ubranie z etaminy, przybrane pliskami i drobnymi falbankami.

Rycina Nr 7.

(patrz szkic a.).

Spódnica naszyta jest u dołu ośmioma, następnie 9 razy, w 5 centymetrowych odstępach, trzema falbaneczkami z marszczoną wstążeczką w tym samym co suknie, t. j. „écru" koloru. Każdy szereg falbaneczek zakończy wążką. Z przodu dłuższa, z tyłu krótsza, a z przodu jak i z tyłu, otwarta tunika, naszyta jest wokoło u brzegu szerokim szlakiem z pliskami. Stanik krzyżujący się z przodu i na bokach, naszyty jest również pliskami w ten sposób



Kasetka na rękawiczki i t. p. drobiazgi, ozdobiona płaskim haftem.

Rycina Nr 10 i 20. (Krój odwrotna strona tablicy fig. 107).

Bardzo ładny haft, złożony z dwóch fantazyjnych, symetrycznie zestawionych gałązek tulipanów, wyszyty jest na wierzchu pudełka, obciągniętego ciemno-zieloną morą. Wnętrze pudełeczka wyklejone jest taką samą morą, dno i odwrotną stronę wieczka należy lekko podwatować. Ponieważ przy zręczności i pewnej znajomości introligatorskiej roboty, pudełeczko takie można samej sporządzić, podajemy krój na fig. 107. Na bok pudełeczka potrzebny jest 6 — 7 ctm. wysoki pas tektury. Pas ten załamuje się podług formy denka. Haft wykonywa się jedwabiami w kilku odcieniach. Kwiaty, w kolorach: ponsowym i żółtym, gałązki — w zielonym. Pudełeczko zamyka oksydowana lub brązowa klamra.



a.

Szkic do ryciny Nr 7.

Trzyskrzydłowy ekranik, ozdobiony cieniowanym haftem, jako zastonka od światła.

Rycina Nr 11 i 12. (Krój i deseń odwr. strona tablicy fig. 108—110).

Środkowe skrzydło parawanka, obciągniętego z jednej strony zielonym pluszem, z drugiej strony — żółtą morą, ozdabia śliczny haft, subtelnie cieniowany, przedstawiający gałązkę „Clematis.“ Na dwóch bocznych, mniejszych skrzydłach, naciągnięte są skośnie kieszonki, właściwie przegródki do fotografii.

Haft wskazany tutaj (patrz rycina Nr 12) da się wykonać tylko przy pewnej znajomości rysunku, cieniowanie jest tak dokładne, jak przy malowaniu i cienie jedwabiu winny być dobrze stopniowane.

Ekranik wykrajany jest z grubej tektury, zamiast zawias nakleja się, lub naszywa wstążkę w odpowiednim do obciążenia kolorze.

Serwetki, ozdobione robotą „point-lace“ i aplikacją.

Rycina Nr 13 i 14. (Deseń pierw. str. tabl. fig. 47 i 48).

Na serwetce rycinie Nr 13, z mory jedwabnej, w kolorze „terracota,“ deseń wykonywa się za

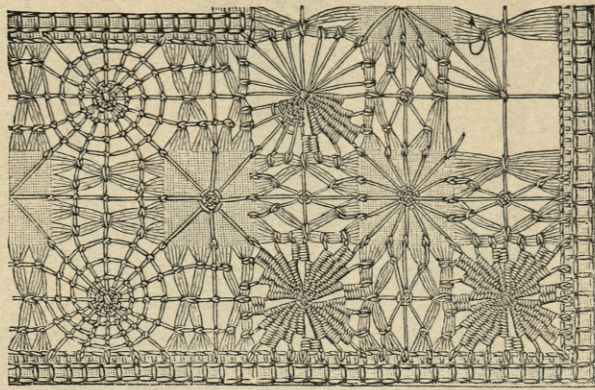


Nr 6. Ubranie z gipiury i krepowego materiału.

Nr 7. Ubranie z etaminy, przybrane zakładkami i drobnymi falbankami.



Nr 11. Trzyskrzydłowy parawanik, jako zastłonka od światła (do ryciny Nr 12). Krój i deseń odw. str. tabl. fig. 108-110.



Nr 8. Robota „à jour“ do ryciny Nr 9.



Nr 12. Część haftu do ryciny Nr 11. (2/3 wielkości naturalnej).

pomocą aplikowanego tiulu, tasiemeczki „point-lace“ i płaskiego haftu. Niektóre części deseni, jak i skrzydełka motyla, można wykonać „à jour“, wycinając delikatnie morę i mocno obwódzać brzegi tiulu. Serwetka oszyta jest wokół wążką, jedwabną pasmanterią, odpowiednią do koloru tiulu, a więc białą lub żółtawą.

Serwetka, rycina Nr 14, z jasno-zielonego sukna, pokryta jest deseniem, którego większe figury stanowi aplikacja z ciemno-ponsowej materyi. Figury połączone są i obwiedzione tasiemeczką „point-lace“, nadto, zasnutę pajęczkami, wyszytymi żółtawym jedwabiem. Brzeg wokół zakończy krótką, jedwabną frendzelką.



Nr 13 i 14. Serwetki, ozdobione robotą „point-lace“, i aplikacją. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 47 i 48).

Serwetki dla piękniejszego wykończenia powinny być podszyte lekką, jedwabną podszewką.

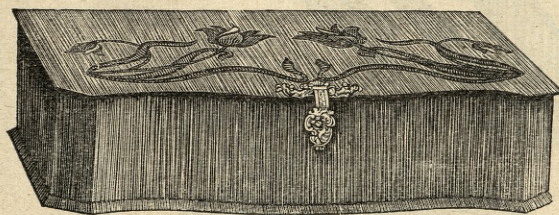
Strojna suknia z batystu.

Rycina Nr 15.

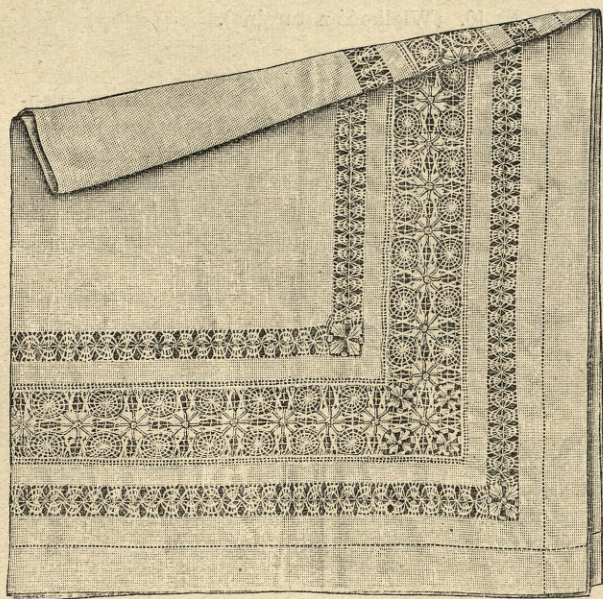
Spódnica i stanik z białego batystu w różowy rzucik i różowe pasy, skrajane są w ten sposób, że na przodzie schodzą się ukośnie. Stanik, z przodu wycięty w caro, na plecach w żąb, otwiera się na marszczoną kamizelkę z różowej gazy. Przybrania dopełnia rodzaj szelek zwężających się i schodzących do stanu. Szelki wykonane są z białej koronki, naszytej gazowymi riuszkami. Rękawy długie do łokcia zakończy falbana z koronki.



Nr 15. Strojna suknia z batystu.



Nr 10. Kasetka na rękawiczki lub drobiazgi, ozdobiona haftem. (do ryciny Nr 20). (Krój odwrotna strona tablicy fig. 107).



Nr 9. Serweta ze szlakiem „à jour“ (do ryciny Nr 8).



Nr 16. Kostium angielski, przybrany zakładkami (patrz szkice b i c.).

Kostium angielski, przybrany zakładkami.

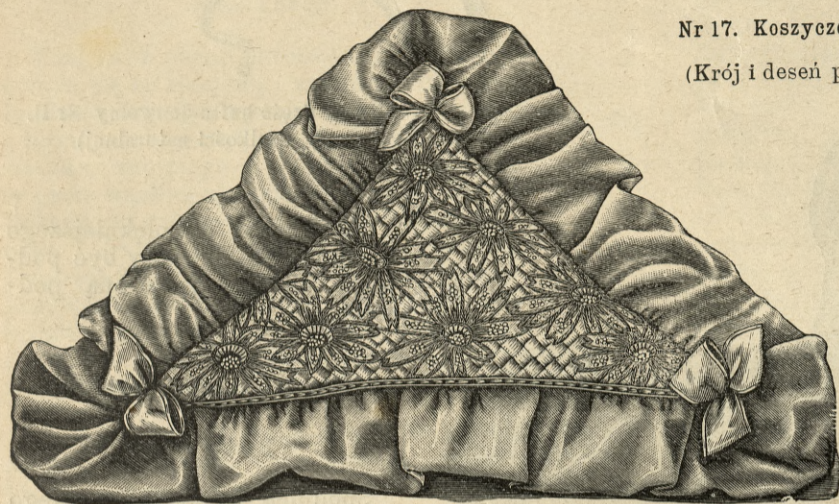
Rycina Nr 16.

(Patrz szkic b. i c.).

Kostium ten z jasno-szarego sukienka i „taffetas“ w tymże samym kolorze, składa się z wciętego paltocika, który może być noszony zapięty lub otwarty i z oryginalnie przybranej spódnicy. Spódnica, wycięta w duże, płytkie zęby, podłożona plisą z tego samego materyału, wygląda jak spódnica podwójna, przód wypełniają pliski z „taffetas“, naszyte skośnie i schodzące się środkiem pod plisą, ciągnącą się od stanu do dołu. Do spięcia spódnicy z boków, użyte są większe perłowe, szare guziki, w górze, na przodzie, naszyte są także same drobne.



Nr 17. Koszyzek do robót ręcznych, ozdobiony haftem.
(Krój i deseń pierwsza strona tablicy fig. 50).



Szkice do ryciny Nr 16.



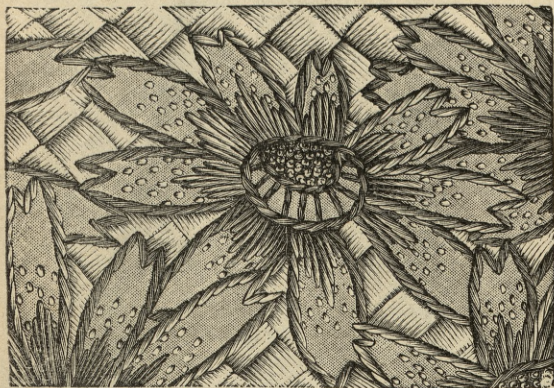
Nr 19. Monogram V. R.

Nr 18. Haftowana trójkątna poduszka
(do ryciny Nr 22).

(Deseń pierwsza strona tablicy fig. 49).



Nr 20. Haftowana gałązka do kasetki ryciny Nr 10. (Wielkość naturalna).



Nr 22. Część haftu do ryciny Nr 18.
($\frac{2}{3}$ naturalnej wielkości).

Paltocik, z wyjątkiem rękawów i krótkiej w okóło baskiny, założony jest cały skośnemi pliskami z „taffetas“. Wyłogi z białego jedwabiu, wycięte w zęby i pięknie zahaftowane, bardzo małe przy zapiętym paltociku, przedłużają się aż do końca przodów przy otwartym. Zapięcie stanowią 3 perłowe guziki.

Koszyzek haftowany, ozdobiony haftem.

Rycina Nr 17. (Krój i deseń pierwsza strona tablicy fig. 50).

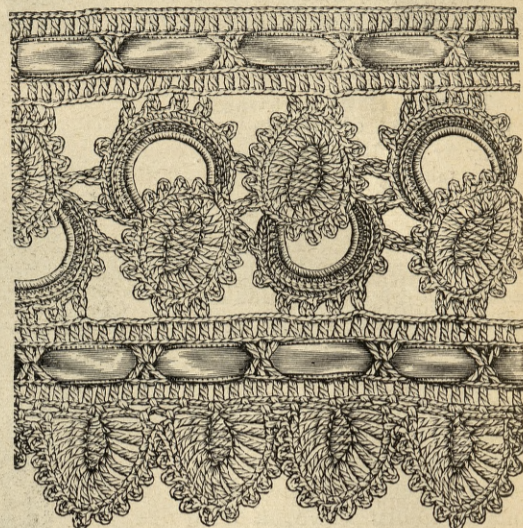
Oryginalnej formy koszyczek z jasnego lyczka, spoczywa na czterech złożonych kulkach i ozdobiony jest nader gustownym haftem, wykonanym na suknie lub filcowym materyale,

pokrywającym do połowy 10 centim. wysoką ścianę koszyczka. Zamiast denka wszyty jest woreczek z jedwabnej materyi, w odpowiednim kolorze do tła haftu, na bokach, w miejscach, gdzie przymocowany jest wygięty, trzciniowy pałaczek, przytwierdzone są rozety z wstążeczki, lub ciętego filcu z kwascikami. Taką samą rozetą umieszczoną jest na środku pałaczka. Koszyczek, wskazany na rycinie naszej, ma u spodu 18 centymetrów w kwadrat ukośny, ściankę zaś 10 centymetrów wysoką. Na obwód woreczka potrzeba 60 centymetrów materyi. Wysokość woreczka 24 centymetry.

Trójkątna haftowana poduszka.

Rycina Nr 18. (Deseń pierw. str. tab. fig. 49).

Trójkątną, 45 centymetry długą, 24 centymetry wysoką w środku poduszkę, pokrywa haft,



Nr 21. Szlak szydełkowy do fartuszków, majtek i t. p.

przedstawiający żółte, duże stokrocce, rozsypa-
ne na tle drobnych, białych kwadracików. Kwadraciki te, wyszyte są na grubym płótnie w ten sposób, że naśladowują plectenie, na kwadraciki użytym jest jedwab' kręty i bardzo lśniący. Liście kwiatków wyszywa się ścięciem płaskim, jasno-żółtą dzieloną filozelą. Obwódka, środek i podłużne ścięgi przy osadzie liści, wyszyte są krętym, dość grubym, złocistym jedwabiem, w trzech cieniach. Dla wykończenia użytym jest także ściąg mijany i supelkowy. Odwrotna strona poduszki podszyta jest białą materyą „pongé“, z takiejże samej materyi podwójna, skośna falbana, otacza brzeg poduszki. Rogi zakończone kokardami ze złocistej wstążki.



Nr 23. Sukienka z satyny dla dziewczynki od 10—11 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 15—21).
Nr 24. Pikowa sukienka dla dziewczynki od 12—13 lat. (Krój i opis odwr. str. tabl. Nr XIII, fig. 84—91).

UWAGA. Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w dzisiejszym numerze, dołączoną była do zeszłego numeru „Bluszczu.“

Pogawędka gospodarska.

Umieblowanie letniej siedziby.

Nasze skromne letnie domki, jak również wspaniałe urządzone podmiejskie wille, podlegają pewnemu prawu właściwego ich urządzenia.

Z rodzaju mebli najwłaściwszych na ten użytek są dwojakie: bardzo eleganckie, lekkie meble bambusowe do sali przyjęć, do werend i buduarów — meble dębowe w różnych, lecz nie kunsztownych fasonach, do bibliotek i jadalni — meble białe lakierowane, lub proste z białego drzewa, co najwyżej pociągane politurą, oraz stare, dawne meble jesionowe, tak niegdyś powszechnie używane, a z którymi teraz w wielu razach nie wiadomo co robić, jako zupełnie wyszliśmy z mody. Oprócz tego robią specjalnie do letnich salonów wiele pięknych, fantazyjnych, lub stylowych niskich krzeseł. Najpiękniejsze z nich są niskie z wysokimi poręczami, słomą wyplatane krzesła „Louis XVI,” wykonane z politurowanego, orzechowego drzewa, lub z malowanego, jakiegokolwiek drzewa innego. Te stylowe krzeselka są zwykle opatrzone dużymi, miękkimi, haftowanymi poduszkami. Takie poduszki robią się ze starych, pięknych materyi, kretonów, malowanych materyi, a wszystko w nikłych, spłowiałych kolorach. Małe, drewniane, pokryte zwyczajnym płótnem, są zwykle nakrywane długimi, ręcznie haftowanymi serwetkami, z płótna, pluszu, lub bardzo grubej prażkowanej, lub deseniowanej jedwabnej materyi, wokoło objętej srebrnym, lub złotym, wązkim galonikiem.

Do mebli ciemno-żółtych jesionowych, bardzo ładnie się nadają jasno-żółte, lub bladobiałe firanki u okien, portyery, zasłony do łóżek, lub t. p.

Pokoje panińskie, są zwykle utrzymane w jasnym tonie. Obicia jasne. Kanapka, fotele i krzeselka z białego, lakierowanego drzewa, okryte kretonem, zastosowanym do obicia.

Łóżka bambusowe, skromne i proste, można jednak bardzo elegancko zaścielać, okrywając je ładnymi kapami.

Japońskie i chińskie malowane wachlarze, są bardzo wdzięczną ozdobą gościnnych, lub innych pokoi i służą nie raz do zakrycia różnych niedoborów umebrowania, a często po prostu dziury w ścianie zakrywają.

Jeżeli dodamy do tego wielką ilość zawsze świeżych, pachnących kwiatów, w fantastycznych wazonach i wazonikach, rozstawionych po całym domu, mamy przed sobą bardzo wdzięczny obraz wiejskiej, letniej siedziby, przyzwoicie, choć skromnie umebrowanej.

Nowe przybranie jadalnego stołu.

Bardzo oryginalnie przybierają teraz zagranicą jadalne stoły owocami. Szczególniej

w Paryżu, a za nim w Londynie i Nicei, ta nowa moda, wprowadzona od zeszłego roku, przybrała już szerokie rozmiary.

Na wielkich przyjęciach, jak również i na skromniejszych obiadach, wyrugowano od przybrania stołu wonne kwiaty, a natomiast zastąpiono je gałęziami, obwieszonymi owocami, bardzo wdzięcznie i umiejętnie rozrzuconymi, jak to zaraz zobaczymy.

U wiszącej lampy po nad stołem, gdzie tylko można zawieszono, kołyszają się świeżo zerwane gałązki białych porzeczek, purpurowych lub złotych wisien, zarumienionych brzoskwiń i moreli. Na stole w małych, niskich, w kształcie liścia talerzykach, ustawiają się rozmaite owoce, również stosownie do pory roku zastosowane. Talerzyki te najczęściej kryształowe są, albo duże, obficie napełnione owocem, tak, że ich się mieści tylko kilka na stole, lub też są to małe, lekko pogłębione salatereczki, z zawartością tylko dla jednej osoby przeznaczoną i wtedy stawiają się przed każdym nakryciem, a jednocześnie obok mieszczą się małe talerzyki porcelanowe, jedynie na wyrzucenie pestek przeznaczone.

Desenie serwet i obrusów są również zastosowywane do obecnej mody owocowej, najczęściej są to girlandy z wisien, porzeczek, agrestu, małych jabłuszek, śliwek i t. p.

To samo dzieje się z małymi, deserowymi talerzykami. O talerzach serwisowych mowy tu być nie może, bo te modzie nigdy nie ulegają.

Być może i nowy ten zwyczaj nie będzie długotrwałym, w każdym razie nie można mu odmówić pewnej oryginalności i nowości, a to zawsze bawi.

Jak się ustrzedz szerzenia gruźlicy z krów na ludzi.

Szerzeniu się gruźlicy sprzyjają trzy główne czynniki; unoszące się w powietrzu cząsteczki zakażonej plwociny, mleko i mięso, pochodzące od zwierząt gruźlicą dotkniętych. Z punktu widzenia higienicznego, największą doniosłość posiadają dwa ostatnie, przeciw nim też w pierwszej linii skierowane być powinny zabiegi higienistów wszystkich krajów. Spostrzeżenia i dane statystyczne, jakimi autorzy w swych sprawozdaniach się posługiwali, zbierane były w Marsylii, gdzie gruźlica rok rocznie zbiera obfitą daninę, pochłaniając dwa razy więcej ofiar, niż wszystkie inne choroby razem wzięte.

Mleka dostarcza mieszkańcom Marsylii 9000 krów; z nich niezaprzeczenie trzecia część dotknięta jest w większym lub mniejszym stopniu gruźlicą. Brak najelementarniejszych nieraz urządzeń higienicznych w krowiarniach, ciasnota pomieszczenia, ciągłe stykanie się osobników chorych ze zdrowymi, wspólne dojenie i t. p. czynią, że mleko częściej bywa zakażone, niż z powyższego stosunku sądzićby

można było. Wśród służby przy krowach pracującej, spostrzegano znaczną ilość suchotników; należy przypuszczać, że wydzieliny krów odgrywają tu ważną rolę przy badaniu chorób. Powyższe spostrzeżenia dowodzą konieczności środków zapobiegawczych przeciw gruźlicy krów. Każda krowa, gruźlicą dotknięta, może szerzyć zarazek czy to przez mleko, czy przez wydzieliny, czy też wreszcie przez barłóg, na jakim dość długo przebywa; środki zatem zapobiegawcze powinny mieć na względzie tak same zwierzęta, jak i pomieszczenie, w którym one przebywają.

I. Gorąco zalecając ogółowi spożywanie mleka jedynie przegotowanego, zaprowadzić należy jednocześnie obowiązkowe szczepienie tuberkuliny w celach rozpoznawczych na każdej sztuce, dostawianej na sprzedaż; tylko te egzemplarze, które zaopatrzone zostaną w odpowiednie świadectwo, stwierdzające stan ich zdrowia, mają się znaleźć w miejskich krowiarniach. Jest to droga, która znakomicie zmniejszy może gruźlicę wśród krów, jak również częstokroć i zarażania się konsumentów.

II. Dezynfekcja krowiarni polegać powinna: 1) na usuwaniu lub nawet paleniu wszelkich nieczystości, w których najczęściej gnieźdzą się zarazki chorobotwórcze, 2) na dokładnym myciu i następnym zraszaniu środkami antyseptycznymi ścian i podłogi i 3) wygotowywaniu lub myciu płynami dezynfekcyjnymi wszelkich narzędzi, jakie w krowiarni używane bywają.

III. Zdrowotność krowiarni wymaga odpowiedniego pomieszczenia, należytej wentylacji, stałej temperatury (12°R.), bezwzględnej czystości i półmroku. Warunki te wpływają wielce pomyślnie i na wydajność krów.

Sklejanie szkła, porcelany i metalów.

Jako kit, szkło wodne jest bardzo ważne, szczególnie do kamieni, szkła i porcelany. Gdy szkło wodne użyte, będzie w roztworze stosownej gęstości, to spojenie trzyma się tak silnie, że przy rozbijaniu przedmiotu, każde inne miejsce prędzej pęka, niż sklezione. Gdy przedmioty stłuczone są tego rodzaju, że mogą być wystawione na gorąco, to po sklejeniu własności tej nie tracą. Przy kitowaniu na to się uważa, aby szkło wodne o ile możliwości było zgęszczone, ale jednak rzadko płynne. Kawalki, które mają być sklezione, ogrzewają się mniej więcej, do temperatury wody wrzącej, obie powierzchnie smarują się za pomocą pędzelka ogrzanego szkłem wodnym, przez ciepło roztopionem, ściskają się razem i obwiązuje sznurkiem.

PRZEPISY GOSPODARSKIE.

Nowy sposób zakwaszania śmietany.

Nowy sposób zakwaszania śmietany, celem wyrobu niestarzejącego się w krótkim czasie masła. Jedną z gazet zagranicznych, specjalnych, podaje wiadomość, że mleczarnia C. Bolle w Berlinie wyrabia najprzedniejsze masło w ten sposób, iż do świeżo, po odtłuszczeniu mleka, získanej śmietany dodaje pewną ilość kwasu mlecznego i zaraz wyrabia masło. Nowy ten sposób zaleca się przed innemi tem, że masło zakwaszone tym sposobem nie odbywa już fermentacji.

Masło z zapachem różanym.

Od niejakiego czasu pojawiło się na wykwintnych stołach i pierszorzednych restauracyach w Anglii masło, zaprawione różanym zapachem i odrazu znalazło licznych zwolenników. Oto co podaje o tym wonnym artykule spożywczym angielski „Przegląd Mleczarski.“ Mleczarnie, które się trudnią wyrobem tego masła, wonieją wewnątrz, jak sklep kwiatowy lub perfumerya. Wyrabia się zaś w ten sposób, iż skoro masło wyjdzie świeżo z msielnicy, formują je w małych ozdobnych foremkiach, a potem każdy kawałek zawija się osobno w delikatny muslin i układa na warstwie listków różanych, nasypanych na dno glinianego naczynia. Na wierzch sypie się znów warstwa róży, dopełnia do reszty naczynie kawałkami lodu i przykrywa wszystko szczelną pokrywą. Tak pozostaje masło przez 10 — 12 godzin, zanim nabierze dostatecznego smaku, czyli stanie się zdatnem do sprzedaży.

M i ó d.

Wziąć miodu czystego 1 garniec, miękkiej wody 6 garncy, nad wolnym ogniem gotować w kociołku, ciągle mieszając i szumując dopóty, aż się wygotuje 5-ta część, t. j. np. 22

kwart zostanie, gotując dłużej będzie miód mocniejszy. Na wioselku naznaczyć, ile się wygotowało. Chcąc mieć miód jeszcze mocniejszy, bierze się wody jeszcze mniej. Na godzinę przed dogotowaniem włożyć w woreczek chmielu, licząc na garniec miodu lut chmielu, mały kamień, aby chmiel nie pływał, kto lubi — dodaje korzenie, galgut, galkę muszkatołową, imbir, cynamon, goździki, korzenia tataraku éwierc luta, baczając tylko na to, że im więcej gatunku brać się będzie, tem mniejszą ilość brać należy.

Przegotowanie szkodzi mniej, niż niedogotowanie, nabiera tylko ciemniejszego koloru i będzie mocniejszym, niedogotowany może nadkwaśnieć. Po ugotowaniu kociołek się nakrywa i jeszcze ciepłą warukę wlewa się do czystej beczki do pełności, strzegąc się, aby się w to nie dostało maki, chleba, piwa, octu, drożdży, gdyż może skwaśnieć, sam bez dodatków będzie fermentował, podstawią się miska pod beczkę, pod szpontem, dla spływania nieczystości w czasie fermentacji. Tak ma stać 2, 3, lub 4 tygodnie, zależnie od większego lub mniejszego ciepła. Szpont w tym czasie nie ma być zatkany, tylko lekko przykryty, aby miód nie wietrzył. Po uspokojeniu się należy miód precedzić przez podwójną flanelę lub sukno w inną beczkę, pośpieszając, aby miód i przy tej robocie nie wietrzył. W kilka tygodni filtrowanie powtórzyć, zwłaszcza do butelek zachować w miejscu chłodnem do użycia. Znakiem dobrze ugotowanego miodu jest jajo kurze na nici uwiązane i zanurzone w miodzie, jeżeli pływać po wierzchu będzie tak, że tylko mała jego powierzchnia da się na wierzchu widzieć.

S z y p ó w k a.

Pięć funtów oczyszczonych czarnych wisien, poziomek, agrestu, porzeczek, lub innych takich jagód, wlać w czysty gąsior i nalać przegotowaną letnią mięką wodą, rzecznią lub zdrojową. Wody wziąć 5 kwart, dodać pół butelki araku, gąsior obwiązać papierem i postawić w słońcu na 12 dni dla sfermentowania. Trzynastego dnia precedzić spirytus do innego czystego naczynia, dodać 3 funty mial-

kiego cukru, rozmieszać i umieścić w chłodnem miejscu na trzy dni. Czwartego dnia likier przedystylować, wlać do czystych, suchych butelek, nowemi korkami dobrze zakorkować i odrutować jak butelki z winem szampańskim, oblać lakiem lub żywicą, ułożyć w wilgotny piasek w piwnicy, a po trzech miesiącach ta doskonała szypówka dobrą jest do użycia.

Likier różany.

Pół kwarty spirytusu, pięć kropel olejk różanego, wymieszać z syropem z funta cukru namoczonego w szklance wody różanej, wymieszać doskonale, powoli rozrabiając, ostudzić zupełnie, przefiltrować do czystych, suchych butelek i po trzech miesiącach używać.

Nalewka słodka poziomkowa.

(doskonała).

Garncowy gąsior napełnić pięknymi, czysto obranymi poziomkami, nalać ile wejdzie spirytusu i postawić na trzy dni w cieniu. Po tym czasie spirytus z jagód zlać do innego gąsiora, dodać miłkiego cukru, licząc półtora funta na każdą kwartę spirytusu, postawić w spokoju przez dwa tygodnie, dopóki się cukier nie rozpuści. Wtedy nalewkę przefiltrować do suchych, czystych butelek i zachować do użycia, po kilku miesiącach.

Obiad na Niedzielę.

1. Zupa z wisien.
2. Raki w potrawie.
3. Wątróbka cielęca duszona.
4. Kałafiory z masłem.
5. Kurczęta z kompotem z wisien.
6. Suflet z poziomek i malin.

Cena niżona rs. 5 (dotychczasowa była rs. 9) pocztą **rs. 6.**

Sprzedaje się na rzecz rodziny pozostalej po zmarłym autorze-wydawcy Dr Starkmanie dzieło p. t.

ENCYKLOPEDIA ILLUSTROWANA

Medycyny i Hygieny Popularnej

według dzieła *D-ra PAWEŁA BONAMI* Laureata Akademii Medycznej w Paryżu,

w opracowaniu *D-ra Józefa Starkmana.*

31 zeszytów zawierających 90 arkuszy druku w dużym formacie 8-o i 160 rycin objaśniających.

można dzieło to nabyć od razu za rs. 5 w Warszawie (6 rs. z przesyłką pocztową) lub też częściowo po 6 zeszytów naraz, wnosząc za takowe po rs. 1 w Warszawie (rs. 1 kop. 25 z przes. poczt.), ostatni 31 wydany będzie bezpłatnie.

prenumerotorowie, którzy zalegli w odbiorze zeszytów, mogą nabyć obecnie zeszyty po kop. 16 w Warszawie a 20 k. pocztą — z prowincyi uprasza się

żądać najmniej 5 zeszytów od razu.

Dzieło to zawiera niezbędne dla każdego wiadomości z Medycyny i Hygieny, wyłożone w sposób jasny i przystępny, głównie zaś sposoby udzielania pomocy w razie nagłej choroby i wbraku lekarza.

Do nabycia we wszystkich księgarniach.